

Barbara Hannay

Księżniczka

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Blady zimowy świt rozjaśnił już szpital, kiedy Isabella wychodziła z oddziału. Pora wracać do domu, wziąć gorącą kąpiel i przed snem napić się herbaty imbirowej.

Podniesiona na duchu tą miłą perspektywą, otuliła się grubą wełnianą pelerynką i zawiązała na głowie czerwoną chustę. Była gotowa zmierzyć się z zimnymi podmuchami wiatru.

- Wasza Wysokość...

Ze zdumieniem ujrzała, że długim korytarzem zmierza ku niej jej osobisty lekarz, Christos Tenni.

- Wyglądasz na zmęczoną - powiedział, gdy ją dogonił. - Zbyt ciężko pracujesz.

- Nonsens, Christos. Wiesz, że ta praca mi pomaga. Odpoczywam tu po tych wszystkich oficjalnych ceremoniach.

Isabella poczuła niepokój. Jej dobry znajomy, właściwie przyjaciel, wyglądał nawet nie tyle na zmartwionego, co przerażonego. Widok jednego z najbardziej szanowanych w Amorii lekarzy, zerkającego podejrzliwie za siebie, budził niepokój.

- Spędziłaś tu całą noc - upierał się. - Pewnie jesteś wykończona. Zanim wyjdiesz, powinnaś coś przegryźć i napić się czegoś.

- Zgoda. Kawa dobrze mi robi - ściszyła głos, dostosowując się w ten sposób do tajemniczego zachowania lekarza.

Poprowadził ją elegancko wypastowanym korytarzem do swego gabinetu i zamknął drzwi. Nachmurzyła się, słysząc szcęk zasuwki, a jej niepokój wzrósł, gdy ujrzała na biurku srebrny dzbanek do kawy, dwie złożone porcelanowe filiżanki i półmisek przykryty zdobioną srebrną pokrywą. Mało kto o tej porze przestrzegał w szpitalu królewskiego protokołu.

Starając się zachować spokój, zdjęła chustę i rozmasowała obolały kark, efekt nocy spędzonej na twardym szpitalnym krześle, kiedy to trzymała za rękę umierającego mężczyznę.

Lekarz nalał kawy i kiedy podawał jej filiżankę, zerknęła na drzwi.

- Co się dzieje, Christos? Wyglądasz na bardzo zdenerwowanego.

Nie odpowiedział. Przeszedł na drugą stronę biurka i usiadł. Widać było, że z trudem udaje mu się zachować spokój. Isabella miała wrażenie, że tak właśnie musi wyglądać, kiedy przekazuje pacjentom złe nowiny.

- Moja droga księżniczko Isabello - wycedził, pochylając się w jej stronę. Zaciśniętymi pięściami wsparł się o blat biurka i zniżył głos do szeptu. - Jesteś w poważnym niebezpieczeństwie.

Drżącymi rękoma odstawiła filiżankę na spodeczek.

- Jak to?

Wziął głęboki wdech, a bolesnym grymasem dawał do zrozumienia, że wolałby tego nie mówić.

- Przykro mi to mówić, ale dowiedziałem się, że twój narzeczony, hrabia de Montez, chce cię skrzywdzić.

- Na miłość boską! - zachnęła się Isabella. - Musisz się mylić. Czemu Radik chciałby mnie skrzywdzić? To śmieszne. On mnie kocha.

Doktor Tenni odchrząknął.

- Isabello... Wasza Wysokość...

- Christos, daj spokój ceregielom. Jesteśmy przyjaciółmi.

- Isabello, znasz mnie od zawsze.

- Owszem, ale w to akurat nie mogę uwierzyć.

- Gdybym powiedział coś na temat twego stanu zdrowia, na przykład że widzę zagrożenie życia, uwierzyłabyś mi? Uwierzyłabyś?

- Tak, ale...

- Więc uwierz, kiedy ci mówię, że jesteś okazem zdrowia, ale nie dałbym grosza za twoje życie, jeśli wyjdiesz za hrabiego Radika.

- Nie!

- Obawiam się, że to prawda.

- Ale dlaczego? Co się stało?

Lekarz wstał, okrążył biurko i stanął obok Isabelli. Położył dłonie na jej ramionach.

- Kiedy w ubiegłym tygodniu byłem w Genewie, usłyszałem poufną rozmowę między hrabią de Montezem i pewną kobietą.

Nie mogła opanować drżenia.

- Marina Prideaux?

- Wiesz o niej?

O Boże! To było okropne. W ubiegłym tygodniu weszła do apartamentu Radika i natknęła się na pisany przez niego list do kobiety, zaczynający się od słów: „Moja Kochana Poodle”. Kiedy napomknęła o tym Radikowi, wpadł we wściekłość.

Była niemal pewna, że chodziło o Marinę Prideaux... Kochana Poodle.

- Nie wiem o niej zbyt wiele. Była dziewczyną Radika, sam o tym wspomniał, owszem... - Wzięła głęboki wdech. - Wciąż się z nią widuje?

- Tak. I obawiam się, że nie tylko to. Poczula, że robi się jej niedobrze.

- Powiedz to, powiedz wszystko, Christos. I tak bardzo mnie wystraszyłeś.

Uścisnął jej rękę.

- Tak mi przykro, Isabello. Hrabia de Montez traktuje ślub z tobą bardziej jako fuzję niż prawdziwe małżeństwo.

- Fuzję?

- Wiem, że to nie pierwszy raz ktoś wżeniał się w rodzinę królewską dla bogactwa i pieniędzy, ale tym razem chodzi o coś jeszcze. Słyszałem, jak zapewniał tę Prideaux, że ją kocha, i poprosił, by wykazała więcej cierpliwości. Przewiduje, że w ciągu sześciu tygodni od dnia ślubu przydarzy ci się nieszczęśliwy wypadek, zapewne samochodowy, bo wszyscy przecież wiedzą, jak zdradzieckie są alpejskie drogi w Amorii.

- O Boże!

Czy Christos oszalał? Radik miałby ją zabić?

- Wie, że po twoim... odejściu będzie miał prawo do sporej części doczesnych dóbr małżonki - dodał Christos.

- To nie może być prawda - szepnęła. Jednak, choć starała się temu zaprzeczyć, pojęła z przerażeniem, że Christos Tenni miał rację. Spojrzała na zaniepokojoną twarz doktora i poczuła skurcz w żołądku. Jego podejrzenia zabolowały ją, lecz zwróciły też uwagę na sprawy, o których dotąd nie chciała wiedzieć.

Przystojny i elegancki Radik, hrabia de Montez, był przedmiotem westchnień każdej europejskiej księżniczki. Osiem miesięcy temu wkroczył w jej życie w rytmie walca i zauroczył ją bez reszty.

Flirtował z nią, uwodził, kupował drobne, gustowne prezenciki. Towarzyszył jej na wszystkich ważniejszych balach i spotkaniach, całował ją.

Wiedziała, że pod opieką ojca nic jej nie grozi. W sprawach związanych z mężczyznami była o wiele bardziej naiwna od większości swych rówieśnic, a wynikające z zaręczyn nowe doświadczenia były bardzo miłe.

Aż do incydentu z listem...

Wówczas w pięknych, ciemnych oczach narzeczonego ujrziała groźny błysk nienawiści. Zaraz wszystko ukrył pod gładkim uśmiechem, ale i tak nie przespała kilku nocy.

A ta jego obsesja na punkcie pieniędzy...

Wzięła głęboki wdech. Gdyby była uczciwa wobec samej siebie, powinna przyznać, że doznała wielu rozczarowań. Radik mało interesował się jej działalnością charytatywną. Ona z kolei starała się stłumić wrażenie, że z tymi zaręczynami było coś nie tak. Nigdy też nie mówili o miłości.

Dobrze wiedziała, czemu tłumiała wewnętrzny protest. Na myśl o tym, że musiałyby porozmawiać z ojcem o zerwaniu zaręczyn, drętwiała z przerażenia. Było to jak próba odwrócenia biegu rzeki.

A teraz nagle okazało się to kwestią życia i śmierci.

Zerwała się z krzesła.

- Co mam zrobić? Ślub już za tydzień. Gazety nie piszą o niczym innym.

Obywatele Amorii znali każdy szczegół uroczystości. Suknię ślubną zamówiono w Paryżu. Tort weselny, upieczony według tradycyjnej receptury w San Sebastian, zostanie przewieziony do Madrytu i tam polukrowany. Prezenty ślubne już napływały z całego świata.

Bizuterię, zegary, kryształy, świeczniki, zabytkowe meble i gobeliny wystawiono w pałacu Valdenza.

Pisma kobiece nie zapomniały również o strojach, które, zdaniem Radika, były jej niezbędne podczas miesiąca miodowego: trzy poranne komplety, pastelowe kostiumy na popołudnie, sześć sukien wieczorowych i dwa płaszcze.

- Już za późno prosić ojca o odwołanie ślubu.

- Obawiam się, że nie masz wyboru - odparł ponuro Christos.

- Ojciec dostanie zawału. Nalegał na ślub z Radikiem. Podobnie jego doradcy. Uważają, że jest wspaniały, wręcz doskonały.

- Przyznaję, że to nie będzie łatwe. Przyjaciele Jego Wysokości zawsze byli poplecznikami rodziny de Montez i za

nic nie przyznają się do błędu. - Christos spojrział pustym wzrokiem na Isabellę. - Jednak zastanów się nad stawką.

Ogarnęło ją przerażenie.

- Nawet nie wiem, czy ojciec potraktowałby mnie poważnie. Pewnie złoży to na karb przedślubnej hysterii.

Litości! Isabella przycisnęła dłoń do gwałtownie bijącego serca. Potem zaczęła się przechadzać po gabinecie, z głową pełną przerażających myśli.

- Co mam robić, Christos?

- Gdyby żyła twoja matka... - zaczął, potem zamilkł i odchrząknął. - Zawsze miałaś niezawodny instynkt. Dlatego tak dobrze radzisz sobie z pacjentami. Powinnaś mu teraz zaufać.

Owszem, powinna. Im więcej o tym myślała, tym bardziej była tego pewna.

- W żadnym razie nie mogę za niego wyjść - powiedziała. I to postanowienie przyniosło jej ulgę. Uwolniła się od dławiącego ją ciężaru.

Dobrze zrobiła, nie pozwalając Radikowi zaciągnąć się do łóżka. O wiele gorzej czułaby się ze świadomością, że została kochanką hochsztaplera.

Jednak decyzja o odwołaniu ślubu to nie wszystko. Trzeba jeszcze odważyć się na rozmowę ojcem, a to już całkiem inna sprawa.

- Christos, będziesz przy mnie, kiedy zwrócę się do ojca?

- Oczywiście.

- Obawiam się, że w ciągu najbliższych dwóch dni nie wróci z Nowego Jorku.

- Szkoda. Jednak niezbyt rozsądnie byłoby rozmawiać z nim o tym przez telefon.

- Pewnie. Za to zobaczymy się z nim natychmiast po powrocie.

- Doskonale. - Christos uściskał ją. - Tymczasem zachowaj ostrożność. Nie chcę cię niepokoić, ale chyba ktoś mnie śledzi.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Jacka obudził ogłuszający hałas.

Najpierw wdarł się do jego snu i przyspieszył bicie serca.

Reszty dokonała adrenalina. Płynnym ruchem odrzucił śpiwór i wyskoczył z łóżka. Deszcz bębnił o blaszany dach niczym grad pocisków, a przez to wszystko przebijało się łomotanie do drzwi.

Bez światła księżycy i gwiazd ruszył po omacku w stronę drzwi i uderzył stopą o metalową nogę łóżka. Odskoczył z głośnym przekleństwem i wciąż klnąc, zaczął zмагаć się z drzwiami.

Deszcz uderzył go w twarz i w tym samym momencie do chaty wtargnęła jakaś drobna, przemoczona postać.

- Co, u licha?

Niczego nie widział, tylko słyszał, jak ktoś dyszał w ciemnościach.

- Czego chcesz? - zawołał, gdy zdołał zamknąć drzwi przed wdzierającą się do chaty nawałnicą. - Co tu robisz?

Jedyną odpowiedzią był bezgłośny szloch intruza.

Co się dzieje, do cholery? Wydał jasne polecenia. W ciągu tego tygodnia nikt nie śmiał mu przeszkadzać. To miał być samotny tydzień w jego pustelni w Pelican's End, spędzony z dala od biura, telefonu, faksu i poczty elektronicznej. Bez kontaktu ze światem.

- Siadaj tu, poszukam światła. - W ciemnościach posadził drżącą postać na łóżku i ostrożnie przeszedł do kuchennej półki. Po paru chybionych próbach znalazł zapalki. W ich blasku podniósł szkło lampy i zapalił ją.

Słabe światło rozjaśniło jednoizbową chatkę, ożywiając blaszane ściany, proste meble i kamienną podłogę. Trzymając lampę nad głową, Jack odwrócił się, by obejrzeć intruza. Postać krzyknęła przeraźliwie.

Do diabła! Kobieta. Omal nie upuścił lampy. Postawił ją na półkę, potem porwał leżące na podłodze džinsy i włożył je z takim pośpiechem, że omal nie upadł.

- Przestań krzyczeć! Nie zrobię ci nic złego.

Umilkła, lecz nadal siedziała skulona na łóżku, mokra i drżąca wpatrywała się w niego ciemnymi oczyma. Jej owalna twarz pobleadła.

Co, u licha, robi kobieta w sercu buszu podczas nocnej ulewy?

Była młoda, wyglądała na jakieś dwadzieścia kilka lat. I przemoknięta do suchej nitki. Czarne mokre włosy opadały jej na ramiona. Biała bluzka stała się przezroczysta od deszczu. Ociekająca wodą płócienna spódniczka przykleiła się do szczupłych, białych ud, dalej widać było zabłocone nogi. Przemoczone adidasy pokrywała gruba warstwa mułu.

Wstała niepewnie, rozejrzała się i powiedziała coś w języku, którego nie rozumiał.

- Mój francuski kuleje - odparł. - Mówisz po angielsku? Zmarszczyła brwi i przycisnęła palce do prawej skroni.

Tym razem odezwała się jakby po hiszpańsku.

Cudownie. Zwaliła mu się ma głowę rozhisteryzowana cudzoziemka, wyrywając go ze snu, a w dodatku nie mógł się z nią dogadać.

- Angielski. Hello? Good night? How are you? Umiesz mówić po angielsku?

- Tak - oparła wreszcie. - Oczywiście, że umiem.

Jack uniósł brwi. Mówiła po angielsku z nienagannym akcentem.

- Dobrze. Posłuchaj. Nie zrobię ci krzywdy.

- Dziękuję. - Skinęła głową i rozejrzała się. - Masz telefon?

- Wolne żarty. Tu nie ma nawet prądu.

- Widzę. - Spojrzała na łóżko i mokrą plamę. - Narobiłam szkód. Spójrz, zamoczyłam ci łóżko,

- Podam ci ręcznik - odparł z wymuszoną uprzejmością.

Miał kilka grubych ręczników w torbie na podłodze. Wyciągnął jeden z nich. Kiedy jej go podawał, zobaczył, że wciąż jeszcze drży.

- Przemokłaś na wylot.

Dwoma palcami ścisnął rękaw jej bluzki. Na podłogę pociekły strużki brudnej wody. Przyglądała się kałuży rosnącej u jej stóp.

- Co się stało?

- Musiałam zjechać z szosy w niewłaściwym miejscu i chyba utopiłam samochód w rzece.

- Chyba go utopiłaś?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem w ciemnych oczach.

- Nie jestem pewna... woda zaczęła tak szybko przybierać. Byłam na drodze, a po chwili wszędzie była woda.

Z przerażeniem spostrzegł, że jest blada jak papier. Zasłoniła usta, z których wydobył się cichy jęk. Zachwiała się.

- Hej, spokojnie. - Wziął ją za ramiona i posadził z powrotem na łóżku. - Tylko mi tu nie mdlej. - Odrzucił śpiwór i koc, odsłaniając materac. - Połóż się. Trochę wilgoci nie zaszkodzi tym starym materacom.

Niezdarnie wyciągnęła się na grubym materacu. Sposepniał, widząc, że ma blade nie tylko policzki, ale i usta.

- Jesteś ranna?

- Chyba uderzyłam się w głowę.

Wziął lampę i postawił na stolku przy łóżku. Potem delikatnie dotknął głowy dziewczyny, szukając rany. Nieznajoma jęknęła, ale krwi nie było.

- Był z tobą ktoś jeszcze?

- Nie.

Ulżyło mu. Przynajmniej nie będzie musiał zdawać egzaminu z męstwa podczas nocnej burzy w wezbranym korycie rzeki.

Leżała z zamkniętymi oczyma, gdy wycierał jej mokre, splątane włosy ręcznikiem. Starał się nie patrzeć na jej mokrą bluzkę, przez którą prześwitywał biały, koronkowy stanik. Piersi falowały jej gwałtownie, oddychała nerwowo.

- Jak się nazywasz? - spytał.

Otworzyła szeroko oczy i zobaczył, jak ciemne, niemal czarne ma źrenice. I gęste, czarne rzęsy. Popatrzyła na niego bez słowa i już otwierała usta, by odpowiedzieć, gdy nagle odwróciła się i zamknęła oczy.

Jack zmarszczył brwi i zaniechał dalszych pytań. Po prostu zagraniczna turystka utknęła na podrzędnej drodze w środku buszu akurat na początku pory deszczowej, a jej samochód spoczywał na dnie wezbranego brodu. To, skąd się wzięła, było mniej istotne od pytania, jak się teraz stąd wydostanie.

Tymczasem powinna zdjąć mokre ubranie.

- Trzeba cię jak najszybciej wysuszyć. - Z torby wyciągnął koszulę z długim rękawem. Była gruba i powinna ją rozgrzać. - Włóż to.

Nie odpowiedziała. Odwrócił się tyłem.

- Poradzisz sobie?

Zerknął. Wciąż leżała z zamkniętymi oczyma. Była bardzo blada. Zemdląca?

- Halo! - zawołał, poklepując ją po ramieniu. Powiedziała coś cicho, co zabrzmiało po hiszpańsku, ale wszystko i tak zagłuszył bębniący o dach deszcz.

- Hej, Carmen! - zawołał, posiłkując się pierwszym hiszpańskim imieniem, jakie przyszło mu do głowy. - Nie zasypiaj, dopóki nie zdejmiesz mokrych rzeczy.

Nadal nie odpowiadała.

Cholera, chyba zemdląca. Czyżby wstrząśnienie mózgu? Jack wiedział, że to niezbyt eleganckie, ale poczuł do niej niechęć. Odwiezienie nieznajomej do szpitala pokrzyżowałoby mu plany. Zresztą to niemożliwe. Sama mówiła, że odciął ich strumień.

Jedno było pewne, nie mogła leżeć w tym mokrym ubraniu. Przetarł czoło. Nie, żeby nigdy przedtem nie rozbierał kobiety, ale zawsze odbywało się to przy aprobacie i chętej współpracy drugiej strony.

Wziął głęboki wdech i rozpiął bluzkę, a potem niezdarnie ją z niej ściągnął. Trudno było nie zauważyć, że jest piękną kobietą. Skórę miała miękką, nieskazitelnie białą, co odróżniało ją od opalonych Australijek. Obojczyki miała idealnie symetryczne, ramiona gładkie i krągłe. Ręce mu lekko drżały, kiedy rozpiął i zdejmował z niej mokry biustonosz, odsłaniając blade, drobne, okrągłe piersi o delikatnych różowych sutkach. Och, Boże. Szybko zakrył ją ręcznikiem i zaczął energicznie rozcierać jej ręce.

Te działania pobudziły jej krążenie. Otworzyła oczy i krzyknęła z przerażenia, widząc, jak się nad nią pochyla.

- Nie dotykaj mnie!

- Spokojnie. Próbuje cię wysuszyć. Zemdląłeś. Najwyraźniej mu nie wierzyła. Poderwała się gwałtownie do pozycji siedzącej, gubiąc przy tym ręcznik. Wpatrywała się w Jacka przerażonym wzrokiem. Jack podał jej ręcznik.

- Musisz się wytrzeć - burknął. - Zrób to sama. Po prostu zdejmij resztę mokrych rzeczy i włóż tę koszulę. I przestań się gapić na mnie, jakbym chciał cię zjeść. Już jadłem.

- Zechciałbyś się odwrócić? - spytała, przyciskając ręcznik do piersi.

- Naturalnie. - Zgrzytnął zębami. - I zagotuję puszkę na herbatę.

- Puszczę?

- Zagotuję wadę w blaszanej puszcze i przygotuję herbatę - powiedział, przesadnie powoli wymawiając sylaby. Potem odwrócił się tyłem i zajął się małą kuchenką gazową. - Powiedz mi, kiedy skończysz.

Podczas gdy napełniał kociołek wodą i szukał drugiego kubka, deszcz wciąż bębnił o dach. Jeśli nie przestanie, rzeka wyleje. Powinien był uważniej słuchać prognoz, ale chęć wyjazdu była silniejsza od rozsądku. I tak by przyjechał.

Gdyby był tu sam, nie obchodziłby go deszcz. Chata stała wysoko, a gdyby strumień odciął go od reszty świata, tym lepiej. Nikt nie zakłóciłby jego samotności.

Ale przez wzgląd na tę kobietę wolałby, żeby przestało lać. Musiał się jej pozbyć.

Słyszał, jak zdejmuje buty i resztę ubrania. Zdumiał się na myśl, że zainteresowała go też druga połowa jej ciała.

- Jest tylko czarna herbata. Nie mam mleka - zawołał przez ramię. - Słodzisz?

- Jedną łyżeczkę, jeśli można prosić.

Kiedy wsypywał cukier i otwierał paczkę owsianych herbatników, dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Zobaczył, że już się wytarła i włożyła koszulę. Była za duża, sięgała jej do kolan, a rękawy komicznie zwisały. Zręcznie je podwinęła.

- Twój rozmiar - zazartował. - Leży jak ułat.

W świetle lampy zauważył, że uśmiechnęła się nieśmiało.

- To miło z twojej strony, że pożyczyłeś mi koszulę.

- Jest wystarczająco ciepła?

- Tak, poczułam się lepiej. Podszedł bliżej i wystawił dwa palce.

- Ile palców widzisz?

- Dwa.

- Doskonale. - Podał jej kubek i wskazał na stojący przy łóżku trójnóg. - Siadaj i wypij to.

- Dziękuję, jesteś bardzo miły.

Jack był innego zdania. Po prostu nie miał wyjścia.

- Nie mogłem zostawić cię w tej ulewie.

Sam jako siedziska użył odwróconej beczki po benzynie. Popijali herbatę w ciepłym świetle lamp, a dookoła grzmiało i lało.

- Jak się czujesz? - spytał. - Przeraziłaś mnie, kiedy straciłaś przytomność.

- Trochę boli mnie głowa, ale już jest lepiej. - Dotknęła skroni i odgarnęła z twarzy wilgotne włosy. Czy istnieje wyższa kasta Cyganów? Tak właśnie spoglądała na niego. Carmen z klasą.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że miałaś wiele szczęścia, trafiając tu po ciemku?

Zadrzała.

- Błyskawice pokazały mi drogę. Rozjaśniły busz i zauważyłam błotnistą ścieżkę. Poszłam nią i trafiłam do twojej chaty.

Przyznał w duchu, że była bardzo odważna.

- Co tu właściwie robisz? - zapytał. - Dokąd jechałaś?

Znow zmieszła się, jakby usiłowała znaleźć najlepszą odpowiedź na proste pytanie.

Przez ułamek sekundy Jack zastanawiał się, czy nie jest zbiegiem, ale porzucił tę myśl jako nonsensowną. Po prostu miała jakiś sekret. A kto ich nie ma?

- Jechałam z Darwin. Chciałam odwiedzić przyjaciół - odparła. Nagle wyprostowała się i wyciągnęła do niego rękę. - Nazywam się Isabella Martineau.

Zabrzmiało to nieco sztucznie i formalnie.

- Isabella - powtórzył, ściskając jej dłoń. - Cześć. Doszedł do wniosku, że to imię pasuje do niej, ale z niewyjaśnionych przyczyn wolał myśleć o niej jako o Carmen.

- Jestem Jack... - Urwał, nie chcąc podawać nazwiska. Jego rodzice byli tak znani, że nawet obcokrajowcy musieli o

nich słyszeć. Jeśli nie samotność, to chciał chociaż zachować anonimowość. - Co zatem robisz na Terytorium Północnym? - usiłował zmienić temat. - Jesteś turystką?

- Nie. - Krótka odpowiedź świadczyła o tym, że woli nie wdawać się w szczegóły na swój temat. Kolejny łyk herbaty, zerknęła na nogi i krzyknęła.

- O co chodzi tym razem? Usta jej drżały.

- Czy to pijawki?

Przyjrzał się jej nodze. Tak, dwie czarne pijawki przyczepiły się do jej kostki. Jedna nawet nielecho urosła, do sytości opita jej krwią.

- Zgadza się, to pijawki.

- O Boże!

- Musiałaś złapać je w strumieniu. Paskudni mali krwiopijcy.

Zadrżała i zbladła.

- Czy mógłbyś je oderwać?

- Owszem, ale będziesz bardzo krwawić. Spokojnie, znam lepszy sposób.

Złapał pudełko zapalek z półki i przykucnął obok niej, lecz ona cofnęła nogi. Najwyraźniej nie ufała mu.

- Spokojnie. Nie zamierzam nikogo torturować, tylko ostrożnie skłonić za pomocą ognia te małe paskudztwa, żeby się odczepiły.

Wzięła głęboki wdech, zbierała siły.

- Dziękuję - szepnęła i przysunęła się bliżej.

Jack przyklęknął na jedno kolano, podniósł jej nogę i oparł na swym udzie. Zapalił zapalną. Pochyliła się i z przerażeniem w oczach obserwowała, jak jedną ręką przytrzymał jej łydkę, a drugą przybliżył zapalną.

- Teraz się nie ruszaj - przykazał jej. - Muszę przesunąć płomień bliżej pijawki.



Czuł, jak narasta w niej napięcie. On też był spięty, ale nie ze strachu. Od dawna nie obcował tak blisko z piękną kobietą.

Kiedy tylko pijawki poczuły żar, rozluźniły zacisk i można było bez trudu je usunąć. Na skórze pozostały krwawe plamki.

- Dziękuję - szepnęła, kiedy zgasił zapalną. Jej ciemne oczy były blisko niego i uświadomił sobie, że wciąż trzyma ją za nogę.

- Sprawdzę drugą, by się upewnić, że nie ma innych - rzekł i cofnął rękę.

Jej stopa idealnie pasowała do wygięcia jego uda. Aż za dobrze. Szybko obejrzał nogę. Ani śladu pijawek, tylko gładka skóra, kształtna kostka i stopa o wysokim podbiciu. Tak, była piękną kobietą.

Zaniepokojony takimi myślami podniósł jej nogę i postawił na podłodze.

- Pozbyliśmy się wszystkich. Jeszcze herbaty? Pokręciła głową.

- Musisz odpocząć. I tak nie ma co robić aż do rana. Z ciekawością obejrzała pokój.

- Tu jest tylko jedno wąskie łóżko.

Chciał się z nią podroczyć, sugerując, że mogliby je dzielić, ale doszedł do wniosku, że na dziś wystarczy jej stresów.

- Wiem, że to nie pałac, ale w kącie jest rozkładana polówka. - Uśmiechnął się. - Mnóstwo miejsca dla nas obojga.

Smakowity zapach smażonych kiełbasek obudził Isabellę.

Zdumiała się, że tak dobrze się jej spało.

Nieustanne dudnienie deszczu podziałało jak kołysanka.

Potem nagle wróciły bolesne wspomnienia. Szok po śmierci Christosa Tenniego. Biedaka przed szpitalem przejechał samochód. Sprawca nawet się nie zatrzymał.

Przeraziła się wtedy. Ojciec był daleko i nagle poczuła się zmęczona, samotna i bezbronna. Pierwszą myślą było uciekać

jak najdalej od Radika i Amorii. Kiedy znalazła się na drugim końcu świata, z jednego niebezpieczeństwa wpadła w drugie. Musiała walczyć o życie z gwałtownie wzbierającą w rzece wodą. Straciła przy tym wszystko - paszport, rzeczy i pieniądze.

Gdzie się znalazła?

Kiedy jej wzrok przyzwyczał się do mrocznego wnętrza chaty, starała się uspokoić, oglądając szczegóły wyposażenia.

Nadal lało. Przez małe, zaparowane okienko wpadało niewiele światła. W kącie, pod dziurą w przerdzewiałym, blaszanym dachu stało niebieskie wiadro z tworzywa. Na wbitych w ściany gwoździach wisiały końskie podkowy, wiekowe kapelusze, zwoje drutu i stare garnki.

Pomyślała o swej sypialni w pałacu, gdzie pokojówka Toinette szła na palcach po grubym dywanie, by cicho rozsunać aksamitne zasłony w podwójnych, sięgających podłogi oknach.

Tutaj kamienna podłoga aż się prosiła, by ją zamieść, a w kącie, och, nie, rozpościerały się grube pajęczyny! Ratunku! Czy w nocy pająk chodził po niej swymi upiornymi, owłosionymi nogami? Mógłby ją ugryźć?

Usiadła i rozejrzała się za Jackiem.

Stał odwrócony do niej tyłem i powoli obracał kielbaski na patelni.

Najwyraźniej nie przejmował się pajakami.

Powoli strach jej mijał. Dziś, na szczęście, Jack był ubrany. Miał na sobie wypłowiałe dzinsy i stary podkoszulek, ale nawet marne ubranie podkreślało szerokie ramiona, wąskie biodra i długie nogi.

Dostrzegła w nim coś zagadkowego.

Chata była nędzna, ale on nie wyglądał na nieokrzesanego człowieka. Ubrany był równie nędznie, ale włosy miał starannie przystrzyżone. Ładne, jasnokasztanowe, krótkie,

lekkie kręcone. Podejrzewała, że w słońcu byłyby jeszcze jaśniejsze.

Nawet pochylony nad patelnią wydawał się bardzo męski.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Mimo panującego w chacie półmroku oczy miał niebieskie jak alpejskie jezioro latem.

- Dobry wieczór - powiedział.

- Wieczór? Która godzina?

- Żartowałem. Dopiero po ósmej. Dobrze spałaś?

- Dziękuję, doskonale. Masz zdumiewająco wygodne łóżko.

Spuściła nogi z łóżka i ostrożnie wstała. Głowa bolała mniej. Plecy miała nieco odrętwiałe, ale ogólnie było nie najgorzej.

Rozejrzała się po izbie.

- Mogę skorzystać z toalety? Uniósł brew.

- Jasne.

- A gdzie jest?

- Na zewnątrz. - Skinął głową w stronę okna.

- Trzeba wyjść na deszcz?

- Niestety, to nie Ritz.

Zdusiła w sobie protest, bo w porę przypomniała sobie o dobrych manierach. Owinęła się wielką koszulą i ruszyła w stronę drzwi.

- Jest prymitywna, jak wszystko tutaj - ostrzegł ją Jack.

- Jak bardzo prymitywna?

- Nie jest tak źle. Przypomina tę chatkę, ale jest mniejsza.

No i brak kanalizacji. - Zdjął ze ściany podgumowany płaszcz.

- Włóż to, bo zamoczysz jedyną suchą koszulę.

- Czy są tam pająki? - spytała, biorąc okrycie. Uśmiechnął się kącikiem ust.

- Pewnie. Zawsze sprawdzaj, czy nie ma tych z czerwonym grzbietem.

- Z czerwonym grzbietem?

- Takie małe, czarne, z czerwonym paskiem przez grzbiet. Mogą być śmiertelnie jadowite.

Śmiertelnie! Wolą tego nie słuchać.

- A co mam zrobić, kiedy takiego zobaczę?

- Zabij go. Weź but i wal z całej siły. - Musiał ujrzeć przerażenie w jej oczach, bo dodał: - Zawołaj mnie w razie czego.

- Dzięki.

- Uważaj też na stonogi. W czasie deszczu wylazą, szukając schronienia.

- Wielkie dzięki. - Isabella skurczyła się nieco. Czy odważy się wyjść na zewnątrz? Kolana tak jej drżały, że ledwie mogła iść.

Jack patrzył na nią przymrużonymi oczyma.

- Boisz się pajaków?

- Nie... nie przywykłam do nich.

- Skąd jesteś?

- Z Amorii. Słyszałeś o niej?

- Tak - odparł. - Małeńki kraik leżący gdzieś w górach między Francją a Hiszpanią, zgadza się?

Skinęła głową.

- Pewnie macie tam pająki.

- Nasze są lepiej wychowane. Siedzą w lesie. Albo zajmuje się nimi służba.

Na myśl o służbie Isabella wyprostowała się. Całe życie spędziła chroniona przez pokojówki i lokajów, ale ostatnie wydarzenia nauczyły ją, że pora wydorosnąć. Dawać sobie radę.

- Skoro wyostałam się z zatopionego samochodu, to pewnie poradzę sobie też z pajakiem.

- Nie tracisz ducha, Carmen. - Jack spoglądał na nią z rozbawieniem. - Będzie dobrze.

- Jasne, doskonale. - Narzuciła płaszcz i wybiegła na deszcz, zanim straciła odwagę.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Isabella była głodna.

Jack zauważył ze zdumieniem, że pochłonięła trzy kiełbaski, dwa jajka i grzanekę. W takim tempie zapasy błyskawicznie stopnieją.

- Było pyszne. - Wzięła talerz i zniosła do zlewu. Mogę pozmywać?

- Jasne - odparł. - Zagrzałem trochę wody, a w plastikowej butelce jest płyn do mycia naczyń. - Zerknął na zmiętą pościel. - A może posłałabyś łóżko?

- Och. - Speszyła się. - Zapomniałam.

- O mokrych rzeczach chyba również. - Spojrzał na leżącą obok łóżka kupkę ubrań. - Wiem, że to nie pałac, ale nie ma potrzeby zamieniać mojej chaty w chlew.

- Przepraszam. - Zmieszała się. - Co powinnam z nimi zrobić?

- A co zwykle robisz z mokrymi rzeczami? Zaczerwieniła się i wzruszyła ramionami.

- Oczywiście piorę. Ale nie masz pralki ani suszarki. Jack jęknął. Narobił sobie kłopotu!

- Mam wiadro, wodę i mydło - wyjaśnił. - Mogę też rozciągnąć w kącie żyłkę rybacką.

W pół godziny później stał przy oknie i z ponurą miną wpatrywał się w szarą ścianę deszczu.

- Pogoda jak przystało na porę deszczową. Może padać całymi dniami.

Isabella skończyła wieszać pranie i podeszła bliżej. Czerwone, wilgotne ręce wsparła na biodrach. Kiedy już wzięła się za prace domowe, robiła to doskonale.

Nadal nosiła jego koszulę, a czarne włosy w nieładzie rozsypały się na ramiona. Powinna wyglądać mało atrakcyjnie, a ku swemu zdumieniu stwierdził, że jej widok sprawia mu przyjemność.

- Na pewno nie przestanie padać? - spytała, robiąc grymas na widok ulewy. - Czy busz nie powinien być suchy, gorący i zakurzony?

- Z wyjątkiem pory deszczowej. Nie sprawdziłaś tego, wybierając się w podróż.

- Gdyby tak padało w Amorii, cały kraj spłynąłby do Hiszpanii.

- Cóż, czasem to ogranicza się do jednej nocnej ulewy. W przeciwnym razie strumienie zamieniają się w rzeki i stają się nieprzejezdne. - Coś ścisnęło go za gardło. - Możemy przez jakiś czas pozostać odcięci od reszty świata.

- Ale ja nie mogę tu zostać. - Zaczerwieniła się. - Nie chcę być dla ciebie ciężarem. Nie ma innego sposobu wydostania się stąd?

- Jeśli pogoda się nie poprawi, policja wyśle śmigłowiec, żeby sprawdzić, czy ktoś nie potrzebuje pomocy. - Wzruszył ramionami. - Nie martw się, kiedy tylko przestanie padać, oznakuję teren, żeby nas zauważyli, i przylecą po ciebie.

- Policja?

W czarnych oczach błysnął strach. Jack nachmurzył się. Czemu wzmianka o policji tak ją przeraża?

- Nie powiesz mi chyba, że uciekasz przed sprawiedliwością? A może tak?

Nie odpowiedziała, tylko spoglądała na swoje ręce.

- Chyba nie ukrywam zbiega, prawda?

- Oczywiście, że nie. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Nie, Jack. Przysięgam, że nie jestem kryminalistką.

- No dobrze. - Zniecierpliwił się. - Pozostańmy przy tym. Ale skoro nie uciekasz, czemu przeraża cię myśl o spotkaniu z policją?

Wzięła głęboki wdech.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to wolałabym o tym nie mówić.

- Nie mam nic przeciw temu? - powtórzył ze złością. - I owszem. Mam! Skoro tu utknęłaś, chciałbym wiedzieć, kim jesteś.

Ale najwyraźniej jej umysł pracował na innych częstotliwościach.

- Skoro tu jestem, to nikt nie zdoła mnie znaleźć, prawda?

- Nie - przyznał ponuro. Naprawdę się przed kimś ukrywała. Do licha! - Chodzi o coś innego. Jesteś tu. Śpisz w moim łóżku, jesz moje jedzenie, więc mam prawo wiedzieć, kim jesteś.

Westchnęła ciężko.

- Przyznaję, że masz takie prawo, ale wybaczone, ja muszę chronić swoje prawa. Zadbać o własne bezpieczeństwo.

Rozłożył bezradnie ręce.

- Czy nie jest oczywiste, że tu jesteś bezpieczna?

- Nie bardzo. Nie wiem absolutnie nic o tobie - odparła beznamiętnie.

Chciał zaprotestować, ale nie zważała na to.

- Byłeś bardzo dobry dla mnie i za to jestem niezmiernie wdzięczna, Jack, ale nie wiem, do jakiego stopnia mogę ci ufać. Nawet nie znam twojego nazwiska.

Ale heca! Czemu miałby mówić kobiecie uciekającej przed prawem, kim jest? Bóg wie, co ta ślicznotka mogłaby zrobić, gdyby знаła jego tożsamość.

- Masz rację - warknął zły, że przyjął jej punkt widzenia. - Nie ufam tobie, a ty nie ufasz mnie. Chyba utknęliśmy w martwym punkcie.

Skinęła głową, lecz wyglądała na bardzo nieszczęśliwą. Zaczęła nerwowo wycierać naczynia. Jack wyglądał przez okno.

Irytowała go tajemniczość nieznajomej. Źle, że tu była, ale w tej sytuacji powinien wiedzieć, jakiego rodzaju ma kłopoty. Patrzył, jak krople rozpryskują się o rozmiękłą ziemię.



Zastanawiał się, jak bardzo wezbrał strumień. Na jak długo tu utknęli?

Może to i lepiej, że nie wie, kim jest ta kobieta, W ten sposób uniknie konsekwencji.

Sęk w tym, że drażniła go nie tylko jej tajemniczość. Przeszkadzała mu jej wrażliwość, urzekające piękno Europejki. Nie chciał jej tu. Przez nią wzbierała w nim krew, a to było wbrew jego woli. Nie powinien być zamknięty w chacie z piękną kobietą.

Nie teraz, nie w tym tygodniu.

Ten tydzień należał do Geri.

Wyjął z torby dwie grube książki.

- Musimy czymś się zająć, bo rozmowa do niczego nie prowadzi.

Wydukała jakieś zdawkowe podziękowanie, sięgając po książkę, którą rzucił na łóżko. Zaczęła czytać streszczenie na jej odwrocie.

- Może ci nie odpowiadać - uprzedził. - To męska literatura, ale nie mam nic innego.

- W porządku, lubię czytać.

- Czyżby?

Ku jego zdumieniu zaczęła chichotać, jakby coś nagle ją rozbawiło.

- Co cię tak śmieszy?

- Nic - powiedziała, czerwieniąc się.

Jego cierpliwość się skończyła. Czy ta dziewczyna musi wszystko trzymać w tajemnicy?

- Dalej, śmiało. Dzielę z tobą dach, więc możesz podzielić się ze mną żartem.

- Nie wyda ci się to zabawne.

- Zobaczymy. Mam fenomenalne poczucie humoru.

W jej wzroku zobaczył powątpiewanie, potem znów się zaczerwieniła.

- Ta cała sytuacja jest taka banalna.
- Banalna?
- Jak z filmu, tylko to nie jest film... Jack czekał.
- To głupie, ale przyszło mi do głowy, że gdyby to był amerykański film, bohaterowie nie czytaliby książek, tylko zakochaliby się w sobie nawzajem. - Poczzerwieniała jak piwonia. - Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam.
- A ja, że cię do tego zmusiłem - mruknął Jack. Atmosfera zagaściła się.
- Przepraszam. To przecież...
- ...nie jest Hollywood - dokończył, zgrzytając zębami. - Jesteśmy u mnie i ja układam scenariusz. - Głos nabrzmiał mu gniewem. - Miłej lektury.

Potem udał się na swoją polówkę, wyciągnął się na niej z nadzieją, że książka okaże się na tyle interesująca, że choć na godzinę zapomni o Carmen.

Isabella czytała, jakby jej życie zależało od tej lektury. Leżała jak trusia i tęnym wzrokiem wpatrywała się w regularnie przewracane kartki. W istocie nie bardzo rozumiała, co czyta, bo wciąż myślała o tej głupiej gafie.

Jak mogła pałać coś takiego? Od dziecka uczono ją taktu, ładnego wysławiania się i poprawnego zachowania w każdej sytuacji, dyskrecji, dyplomacji i uprzejmości.

Odwróciła kolejną stronę, z grubsza zorientowana, że chodzi o książkę przygodową, pełną męskich postaci. Jack dobrze określił ten typ literatury. Wolą historie z udziałem kobiet, ich punktem widzenia, coś o miłości. O, nie... znów zaczyna. Dziś myśli jednotorowo.

Z westchnieniem odłożyła książkę.

Najgłupsze było to, że obchodziło ją, co Jack o niej myśli. Ale dlaczego? Byli obcymi ludźmi, którzy spotkali się przypadkowo. Kiedy tylko zdoła się stąd wydostać, zostawi go na zawsze.

Zadrzała na myśl o tym, co dzieje się teraz w domu. Ile czasu jej zostało? Kiedy odnajdzie ją narzeczony?

Mogła wyobrazić sobie popłoch wywołany jej zniknięciem. Ojciec jest zaniepokojony, a Radik na pewno wściekły. Pewnie wezwał szefa Biura Śledczego Amorii. Do akcji włączył się Interpol.

Ile czasu zajmie im wytropienie jej? Rozejrzała się. Czy Amorianom przyszłoby na myśl, że ich księżniczka uciekła przed małżeństwem z hrabią de Montezem do lichej chatki w australijskim buszu?

Mało prawdopodobne.

Tu powinna być bezpieczna. Wczoraj jechała coraz dalej i dalej w głąb bezdroży. Ogarnęło ją poczucie bezpieczeństwa jak wówczas, w dzieciństwie, gdy chowała się przed wyimaginowanymi potworami pod kołdrą w przepastnym łóżu.

Dlatego odcięcie od świata było błogosławieństwem.

To miejsce wydawało się najmniej uczęszczanym na kontynencie. Nigdzie indziej nie mogła być chyba bardziej bezpieczna.

Nie licząc węży, pajaków, skorpionów, pijawek oraz... głupstw, jakie powiedziała Jackowi... Będzie tu bezpieczna, może nawet szczęśliwa. Przez dzień czy dwa...

Jack również nie mógł czytać. Myślał o Geri. W tym tygodniu wypadała trzecia rocznica jej śmierci. Dlatego przyjechał do Pelican's End. Po to, by wspominać jej pasję, inteligencję i radość życia.

Przez ostatnie trzy lata pracował ciężko, ponad siły, by zagłuszyć rozpacz. W chwili gdy znalazł się na skraju wyczerpania, lekarz zmusił go do zrobienia przerwy.

Dlatego przyjechał w miejsce, które oboje tak ukochali. A teraz obca osoba zakłóciła mu spokój. Spowodowała, że wspomnienia o żonie uderzyły go z nową siłą.

Poznał Geri na uniwersytecie. Pisała rozprawę z zoologii, a on kończył studia rolnicze. Najpierw jego uwagę przykuły jej płomiennorude włosy. Potem odkrył, że mają podobnie buntownicze charaktery. Szybko zostali kochankami.

Kiedy ukończyli studia, musieli pogodzić rozbieżne ścieżki życia zawodowego. Geri nie chciała ustąpić. W końcu osiągnęli kompromis.

Pobrali się i założyli dom w Perth, dokąd wracali tak często, jak pozwalały im obowiązki. Geri, choć mnóstwo czasu spędzała poza domem, badając i fotografując dzikie zwierzęta, zmieniła się, kiedy zaszła w ciążę.

Postanowiła zająć się wychowaniem dziecka.

Te wspomnienia były najgorsze. Poczul ucisk w gardle, gdy pomyślał, jak była szczęśliwa, kiedy jej filigranowe ciało zaczęło zmieniać się w zaawansowanej ciąży. Jak bardzo była zachwycona, odkrywając w sobie instynkt budowania gniazda.

- Jakbym była ptakiem. - Cieszyła się, gdy wspólnie malowali i urządzali pokój dziecięcy.

Cholera. Łzy mimowolnie napłynęły mu do oczu. Nie. Nie w obecności drugiej kobiety, leżącej na wyciągnięcie dłoni. Niech to szlag. Nawet w Pelican's End nie znalazł warunków do wspomnień.

Przetarł twarz rękawem i usiłował skupić się na lekturze, ale Isabella zerwała się z łóżka i podbiegła do okna.

- Przestało padać! - zawołała. Odłożył książkę i podszedł do niej.

- Najwyższy czas.

- Jest nawet skrawek bezchmurnego nieba! - Odwróciła się do niego z błyszczącymi z podniecenia oczyma. - Możemy wyjść?

- Jasne. - Skinął głową. - Zanim oboje dostaniemy klaustrofobii.

Ziemia była rozmiękła, woda wciąż ściekała z dachu i kapiała z drzew. Wilgotne powietrze było przesycone zapachem ziemi i roślin.

- Jak tu cudownie - powiedziała Isabella.

Była zdumiona, widząc, że chata stała na szczycie wysokiego brzegu łagodnie opadającego ku niewielkiemu jezioru. Tafla, która odbijała ołowiane, deszczowe, wciąż pokrywające niebo chmury, była domem dla setek ptaków wodnych, czapli, pelikanów, dzikich kaczek i gęsi. W oddali majestatycznie wyłaniał się drugi brzeg.

Wczoraj surowy krajobraz Australii nie wzbudził w niej takiego zachwytu. Jednak to okolone zieloną roślinnością jezioro przypominało jej znajome rodzinne krajobrazy Amorii.

- Myślałam, że busz jest jałowy i nieprzyjazny, a to miejsce jest piękne.

- Nazywamy je Pelican's End.

- Rozumiem, tyle tu ptaków. Niesamowite. Skinął głową.

- Przyjechałem tu ze względu na nie. Chciałem je fotografować. - Zerknął na niebo. - Powinniśmy wykorzystać tę przerwę w opadach i sprawdzić poziom strumienia. Zobaczymy, co z twoim samochodem. Może z pomocą mojego uda mi się go wyciągnąć.

Ruszył w drogę, nie czekając na jej reakcję.

- Uważaj! - zawołał przez ramię. - Ścieżka jest śliska. Wąski i kręty szlak był tak mokry, że Isabella kilkakrotnie musiała chwycić się gałęzi. Zdziwiła się, widząc, jaki szmat drogi przebyła zeszłej nocy, przedzierając się przez krzaki. To cud, że nie zabłądziła. Przed nimi słychać było odgłos rwącej wody.

Jack zatrzymał się gwałtownie i obrócił ku niej z przerażeniem w oczach. Podeszła bliżej i otworzyła usta,

widząc, że droga zniknęła pod masą brudnej, niespokojnej wody. Po samochodzie ani śladu.

Gwizdnął przeciągle.

- To dopiero wezbrany strumień. Jak udało ci się uciec?

- W nocy woda nie była tak wysoka - odparła. Z taką by sobie nie poradziła. - To dzięki aniołowi stróżowi.

- I wyjątkowej odwadze - dodał.

- Chyba nie byłam taka odważna. Przerazona wzywałam pomocy. - Isabella zadrżała, patrząc na płynącą obok wezbraną brązową wodę.

- Nie zdołamy uratować nic z twoich rzeczy.

- Nie.

- Choćby już nie padało, to przez kilka dni nie przejedzie tędy żaden pojazd.

- Więc tu ugrzęzłam?

Nie odpowiedział, tylko zacisnął zęby.

- Przykro mi, że cię fatyguję, Jack. Gdybym mogła...

- Będiesz mogła zabrać się stąd pierwszym policyjnym śmigłowcem.

- No, tak... - szepnęła.

Zapanowała długa cisza, podczas której oboje, pogrążeni w myślach, wpatrywali się w wartki nurt. Isabella modliła się w duchu, żeby śmigłowiec nie przyleciał. Policja na pewno doniesie o niej władzom Amorii.

Jack westchnął głęboko.

- Wracajmy na lunch. Nie ma sensu wpatrywać się w ten przygnębiający obraz.

Na belce przed domem rozwiesili ręcznik i jedli chleb z serem, przyglądając się wodzie. Początkowo Isabella upierała się, że nie jest głodna. Rano uświadomiła sobie, że Jack nie mieszka na stałe w chacie i że zabrał ze sobą prowiant na krótki pobyt, lecz kiedy usiłowała wymówić się od lunchu, oznajmił, że nie pozwoli jej głodować.

- W razie czego zawsze mogę złowić rybę - stwierdził stanowczo.

Deszcz ustał, ale niebo wciąż zasnuwały ciężkie chmury.

- Piękne jezioro - powiedziała. Jack spojrzał w niebo.

- To miękkie światło jest interesujące. Wezmę aparat i zrobię kilka zdjęć, zanim znów się rozpada.

Zanurkował do chaty po mały plecaczek i aparat

- Masz hasselblada?

- Tak. - Założył pasek na szyję. - Znasz się na sprzęcie?

- Trochę. Jesteś zawodowym fotografem?

- Niestety. To tylko hobby. Aparat należał do... - Bolesny skurcz twarzy. - Mam go w spadku po kimś...

Dobre wychowanie powstrzymało ją przed dalszymi pytaniami. Czowała, że Jack chowa smutek za barierą milczenia, i uszanowała to.

- Idź robić zdjęcia - powiedziała, nie chcąc wdzierać mu się do duszy z butami. - Z przyjemnością przejdę się nad jeziorem albo poczytam.

Popatrzył na wodę.

- Wezmę kajak. Ptactwo wodne lepiej fotografować z łodzi, bo mogę się skulić i mniej się wtedy płoszą. - Zerknął na nią. - Poradzisz sobie?

- Jasne. - Starła się, by zabrzmiało to niedbale. Tłumaczyła sobie, że Jack nie wybiera się na dłużej i że jest całkiem bezpieczna, ale nagłe przerażenie uświadomiło jej, że nie chce zostać sama w tym dzikim miejscu. Jej poczucie bezpieczeństwa okazało się nietrwałe. Najwyraźniej zależało od bliskości Jacka.

Nie udało się jej tego ukryć, bo spojrzał na nią uważniej.

- Możesz płynąć ze mną, jeśli chcesz. Natychmiast podchwyciła grzecznościową propozycję.

Z ulgą i podnieceniem zarazem pomagała mu spuścić kajak na wodę. Jack przytrzymał go, kiedy Isabella zajmowała

przednie siedzenie, potem wręczył jej wiosło, sam wsiadł z tyłu i odepchnął kajak od brzegu.

- Wiesz, co robić?

Miała doświadczenie w pływaniu po jeziorach w Amorii. Bezszelestnie zanurzyła pióro w wodzie.

- W ten sposób?

- Tak jest. Wspaniale!

Czuła się dumna, gdy gładko sunęli po jeziorze, ale dumę szybko zastąpiło cudowne poczucie wolności.

Ostatnie wydarzenia, ucieczka z Amorii, długi lot i porównywalnie długa jazda z Darwin były niczym wobec tego, co zaszło ubiegłej nocy, i spartańskich warunków w chacie. Teraz otwarta przestrzeń dawała poczucie swobody.

Nie było to może zbyt mądre, ale nawet świadomość, że jej szukają, nie mogła zmącić tej radości. Przez całe życie była otoczona rodziną, służbą, ochroną i gapiami. Chwile w tym odizolowanym świecie, z jednym człowiekiem u boku przyjmowała jak dar losu.

Amorią będzie się martwiła, kiedy rzeka opadnie lub pojawi się policyjny śmigłowiec...

- Przestań wiosłować - szepnął Jack. Natychmiast wyjęła wiosło z wody.

Promień słońca, który przedarł się przez chmury, rozświetlił ścieżkę na wodzie, wyławiając z niej białą sylwetkę ptaka. Znieruchomiał z wygiętą, długą szyją i przekrzywiając łeppek, wpatrywał się w toń.

Wstrzymała dech, wiedząc, że z tyłu Jack przygotowuje aparat. Nagle ptak błyskawicznie zanurzył łeppek w wodzie. Usłyszała pomruk zadowolenia Jacka i trzask migawki. Kiedy ptak wynurzył się, zapanowała kompletna cisza, zakłócona jedynie dochodzącym z przeciwległego brzegu gęganiem. Potem kolejny trzask aparatu. Ptak szeroko rozłożył skrzydła i odleciał.



- Masz go? - spytała, odwracając się.

- Nie jestem pewien. - Uśmiechnął się. - To nieważne. Fotografowanie ptaków sprowadza się do walki z niedoskonałością. Albo obiekt jest za mały, albo za ciemny, albo nieostry.

- Ale zdarzają ci się doskonałe zdjęcia?

- Tak.

Isabella uśmiechnęła się, a Jack odwzajemnił uśmiech.

Ich spojrzenia skrzyżowały się i nagle zauroczyły ją jego błękitne oczy. Wyglądał niezwykle przystojnie i męsko.

Serce zaczęło jej bić mocniej. Puls na szyi przyspieszył, jakby naśladował łopot skrzydeł spłoszonego ptaka.

Drogi Boże, nie mogła złapać tchu. Nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego, nawet przy Radiku. Głupia sprawa. Jack dał wyraźnie do zrozumienia, że ledwo znosi jej obecność, a ona chciałaby, żeby ją polubił. I to bardzo.

On pierwszy spuścił wzrok. Spochmurniał, wziął wiosło i mocno pociągnął z prawej.

- Podpłynmy bliżej stromego brzegu.

- Dobrze. - Isabella wbiła wzrok w wodę i chwyciła wiosło. Gdy okrążali jezioro, starała się więcej nie patrzeć na Jacka. Nie było najmniejszego sensu snuć dziewczęcych romantycznych marzeń związanych z tym burkliwym samotnikiem, który byłby przerażony, gdyby znał jej tożsamość.

Skoncentrowała się na krajobrazie i wiosłowaniu. I swoich kłopotach. Musi się zastanowić, jak osiągnąć cel bez pieniędzy i środka transportu.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Wieczorem ziemia była jeszcze zbyt mokra, by rozpalic ognisko, Jack wystawił więc maszynkę gazową na zewnątrz i przypiekali grzanki na długich widelcach, które zrobił z drutu.

- Ale zabawa - powiedziała Isabella, trzymając grzankę nad ogniem.

Oczy błyszcząły jej z radości i podniecenia. Jack zdziwił się. Wyglądała na szczęśliwą, jak dziecko na placu zabaw. Od kiedy to pieczenie grzanek jest takie fascynujące?

Spojrzał w niebo nad jeziorem, gdzie gwiazdy próbowały przedrzeć się przez dziury w chmurach, i przypomniał sobie, że Geri była równie podniecona posiłkami na zewnątrz. Ale jej umysł był zajęty ptakami i robieniem zdjęć.

Teraz na przykład zamieniłaby widelec na aparat. Podkradałaby się do kaczek i gęsi, szukających na wodzie wieczornej przekąski przed powrotem do gniazda.

- Jack, jedz. To jest pyszne.

Isabella posypała grzankę ostrym curry. Gdy odwrócił się ku niej, nieznacznie odchyliła głowę, by zetrzeć okruszki z policzka. W geście tym odrzuciła jedwabiste, czarne włosy do tyłu, odsłaniając linię białej szyi. Pospiesznie zabrał się do jedzenia.

- Często zastanawiałam się, jak smakuje proste jedzenie. Słyszac to, zmarszczył brwi.

- Wnioskuje z tego, że zawsze jadłaś wykwintnie.

Zaczerwieniła się i spuściła głowę.

- Często chodziłam do restauracji.

- Skoro szukałaś odmiany, to masz szczęście. Tu wszystko jest proste. - Dokończył grzankę i wziął puszkę gruszek. - Czy to wystarczy na deser?

- Oczywiście.

- Chyba miałem rację, nazywając cię Carmen. Spojrzała na niego zdumiona.

- Nie rozumiem. Czemu właśnie Carmen?

- Cóż... zjawiała się w burzy, z długimi czarnymi włosami, pociągłą twarzą o wielkich, ciemnych oczach i zasłabła, mówiąc coś w nieznanym języku. To przywiodło mi na myśl Cygankę. Carmen była pierwszym skojarzeniem. A teraz ekscytuje cię koczownicze życie i ognisko. Na pewno nie jesteś Cyganką?

Zarumieniła się i szybko spojrzała w gwiazdziste niebo.

- Powiedziałem coś nie tak?

- Nie - odparła, odwracając się ku niemu. - O czymś tylko mi przypomniałeś. - Westchnęła głęboko. - Nie jestem Cyganką, ale to nawet zabawne mieć na imię Carmen. Podoba mi się.

Aby tego dowieść, zagłębiła widelec w puszcze gruszek, odrzuciła w tył włosy i odchyliła głowę, niosąc soczysty owoc do ust. Ze śmiechem wytarła kapiący na policzek sok.

Jack obserwował ten popis, a na widok ruchów jej szyi poczuł pożądanie.

Sięgnęła po kolejny kawałek gruszki.

- Jestem pewna, że wszystkie Carmen lepiej się bawią.

- Myślałem, że chodzi o blondynki.

- Cóż, też o tym słyszałam. - Promiennie uśmiechnęła się do niego.

- A Isabelle?

- Isabelle... - Jej uśmiech raptownie przygasł, odwróciła się od niego i spojrzała w gęstniejącą ciemność. - Isabelle muszą być ostrożne. Zbyt ostrożne, by brać udział w beztrudnej zabawie.

- Żartujesz? - Jack chciał się podroczyć. - Dziewczyna, która nosi bieliznę Yves'a Saint Laurenta, nie bawi się?

Zdumiało go jej oburzone spojrzenie.

- Suszyła się w widocznym miejscu - wyjaśnił. - Trudno było nie zauważyć.

Żadne z nich nie wspomniało, że wczoraj częściowo ją rozebrał, choć oboje mieli tego świadomość.

Jack, widząc, że rozmowa potoczyła się w niebezpiecznym kierunku, zmienił temat

- Powiedz mi, czemu bycie Isabellą jest mało zabawne. Wzruszyła ramionami.

- Czym się zajmujesz?

- Pracuję w szpitalu.

- Jako pielęgniarka?

- Nie, nie jestem pielęgniarką. Moja praca ma charakter charytatywny.

- Zbieranie środków? Sponsorowanie?

- Miedzy innymi. A ty, Jack? - spytała, nie chcąc zaspokajać jego ciekawości. - Co robisz?

Chciał się jakoś wykręcić, ale znudziło go to owijanie każdego tematu w bawełnę.

- Jestem szefem firmy hodującej bydło.

- Szef? To brzmi poważnie. Skinął głową.

- A konkretnie gdzie?

- Wszędzie. Moja firma ma oddziały porozrzucane po całym kraju, ale dom i biuro mam w Perth, w Australii Zachodniej.

- Czyli masz jedną z tych potężnych firm hodujących miliony krów?

- Nie miliony - odparł ostrożnie. - Wciąż się rozwijamy.

- Nie rozumiem, czemu wszystko jest takie rozproszone.

Nie lepiej prowadzić hodowlę w jednym miejscu?

- Nie, jeśli chce się hodować różne gatunki i być konkurencyjnym. Różne rasy wolą różne tereny.

- Wygląda to na wielką firmę.

- Bo tak jest.

- Coś takiego jak u Kingsleyów - Lairdów? Omal nie podskoczył.

- Znasz ich?

- Tak.

- Naprawdę?

- Pierwszy raz spotkałam Johna i Elizabeth Kingsleyów - Lairdów w Anglii, a potem podczas ich ubiegłorocznej wizyty w Amorii - odparła. Nagle odniósł wrażenie, że jest zaniepokojona i wolałaby zmienić temat. On też. Ta rozmowa zmierzała w zbyt niebezpiecznym kierunku. Jak by na to nie spojrzeć, nawet zwykła pogawędka z Isabellą była trudna. Przypominała spacer po polu minowym.

Pacnęła komara na ramieniu i wstała.

- Kawę lepiej wypijmy w środku. Po zmroku owady będą bardziej natarczywe.

Pozbierali rzeczy.

- Lampa wystarczy do czytania - odezwał się Jack. - Jak książka?

- Świetna - stwierdziła z uśmiechem, lecz wyczuł, że to nieprawda.

- Moja robi się coraz ciekawsza - skłamał, bo wiedział, że czytanie do poduszki było bezpiecznym zajęciem.

Następnego ranka przed śniadaniem Isabella odważyła się przejść brzegiem jeziora i znalazła ustronne miejsce, w którym mogła się wykąpać. Było ciepło, ale przejrzysta woda nadal była chłodna. Unosiła się na wodzie i patrzyła w niebo.

Nad nią szybowały czaple. Z wyciągniętymi długimi szyjami wyglądały jak miniaturowe odrzutowce. Małe chmurki przypominały dryfujące wyspy. Reszta nieba była czysta i błękitna.

Roześmiała się w głos. Co pomyślałaby jej pokojówka, Toinette, widząc księżniczkę kąpiącą się w jeziorze, chronioną jedynie przez armię pelikanów?

Pewnie byłaby jeszcze bardziej zszokowana, widząc, że księżniczka mieszka pod jednym dachem z mężczyzną.

Wysokim, szczupłym, przystojnym. Nie żadnym pustelnikiem, ale człowiekiem sukcesu.

Nie zdziwiła się, słysząc, że Jack jest szefem wielkiej firmy hodowlanej. Sprawiał wrażenie człowieka, którego inni słuchają. Ciekawiło ją jednak, co robił w Pelican's End. Też się ukrywał? Mimo wszystko czuła, że może mu zaufać. Przy nim była bezpieczna.

Kiedy wytarła się i ubrała z powrotem we własne rzeczy, poczuła się czysta i ożywiona. Była gotowa zmierzyć się z nowym dniem. Wiele spraw powinno ją niepokoić, ale nie mogła skupić się na niczym prócz podziwiania pięknej przyrody i przyjemności suszenia włosów w słońcu.

Świat był tu cichy i spokojny. Wszystkie obawy o przyszłość rozwiały się. Nad tym jeziorem problemy rozplynęły się.

Na śniadanie jedli pieczone ziemniaki i ostatnie kielbaski, potem herbatę i grzanki z imbirową marmoladą. Jedząc, przyglądali się eskadrom czarnych kormoranów kołujących nad samą wodą tak, że niemal dotykały skrzydłami toni.

Isabella tak bardzo zajęła się obserwowaniem ptaków, że w pierwszej chwili nie zwróciła uwagi na dobiegający z oddali dźwięk.

Jack popatrzył w tę stronę i zmarszczył brwi.

- Chyba słyszę policyjny śmigłowiec - powiedział. Omal nie udławiła się grzanką.

Tak szybko?

Serce zaczęło jej walić, żołądek skurczył się boleśnie, gdy wpatrywała się w niebo. Na horyzoncie pojawił się mały punkcik.

- Jesteś pewien, że to policja?

- Istnieje duże prawdopodobieństwo, - Jack odstawił kubek i wstał.

Czarny punkt zmierzał w ich kierunku. Isabella chciała ukryć się w chacie. Jednak musiała odwieść Jacka od wezwania policji.

- Dam im znak - zawołał i pospieszył w stronę jeziora. - Chodź, pomożesz mi.

- Nie! - Pobiegnęła za nim. - Jack, nie.

- Nie bądź śmieszna - odkrzyknął przez ramię. - Nie możesz wciąż się tu ukrywać.

- Nic nie rozumiesz.

- Masz rację. - Odwrócił się i spojrzał na nią. - Nie mogę cię zrozumieć, bo nic mi nie powiedziałaś.

Złapała go za ramię, ale wyrwał się.

- Nie możesz wydać mnie policji.

- Niby czemu?

- Bo to dla mnie niebezpieczne. - Nie mógł nie usłyszeć w jej głosie przerażenia. - Uwierz mi.

Wahał się przez chwilę, ale potem znów utkwiał wzrok w śmigłowcu.

- Wybacz, kochana. Miałaś mnóstwo czasu na wyjaśnienia, ale straciłaś okazję.

Podniósł ręce nad głowę.

- Jeżeli odeślesz mnie do Amorii, zginę! - krzyknęła.

- Na miłość boską! - Jack złapał ją za ramiona. Wydawało się, że chce nią potrząsnąć. - Masz ostatnią szansę, Carmen. Powiedz mi, kim jesteś i co tu robisz, albo zrobię wszystko, by nas zauważyli.

Zerknęła nerwowo na niebo. Śmigłowiec był już dużą czarną plamą, która rosła z każdą chwilą.

- Wejdźmy do chaty, to ci powiem.

- Nie, mów zaraz.

- Zobaczą nas! Chodź!

- Najpierw powiedz!

Przeraziła się. Nie było czasu na powrót do chaty.

- A obiecujesz, że mi uwierzysz?
- Tak, nie trać czasu.
- Jestem księżniczką. Jack popatrzył na nią.
- Kim jesteś?
- Księżniczką Isabellą z Amorii.
- Guzik prawda.

Ale Isabellą nie czekała ani chwili.

- Chodźmy! - krzyknęła i z bijącym sercem ukryła się pod najbliższymi drzewami.

Schroniła się pośpiesznie i odwróciła w stronę Jacka. Stał zaszokowany tym, co usłyszał.

- Jack! - krzyknęła. - Błagam, schowaj się!

Pognała głębiej w busz i usłyszała, że za nią podąża. Przykucnęła pod gęstymi, srebrzystymi liśćmi. Nad nimi huczał śmigłowiec.

- Tutaj! - zawołała. Po chwili Jack był przy niej. Miejsca pod liśćmi było mało i Jack musiał objąć ją ramieniem. Kryjówka pachniała mokrą ziemią, eukaliptusem i Jackiem. Nie powinien tak ładnie pachnieć. A ona nie powinna zwracać na to uwagi.

Gałęzie kłuły ją w plecy, szarpały za włosy, a serce dudniło jej prawie tak głośno jak łopaty wirnika. Mimo to zauważyła, że Jack pachniał kremem do golenia.

- Czy się nie przesłyszałem? - zawołał jej do ucha. - Powiedziałaś, że jesteś księżniczką?

- Tak.

- Z królewskiego rodu, masz błękitną krew?

- Tak - odparła zdziwiona, że mówi to usprawiedliwiającym tonem. - Moim ojcem jest Albert, król Amorii.

Śmigłowiec zaczął okręzać jezioro.

- I uciekłaś, ratując życie?



- Niestety. - Bezskutecznie usiłowała wypatrzeć maszynę.  
- Co robi tu tak długo? Myślisz, że nas widzieli?

- Nie wiedzą, że tu jestem. Po prostu sprawdzają, czy ktoś ma kłopoty. - Zmierzył ją wzrokiem. - Szukają ciebie? Wiedzą o tobie?

- Nie wiem - odparła. - Mam nadzieję, że nie.

- Naprawdę coś ci grozi?

- Tak. Wasza policja będzie musiała mnie odesłać. Lepiej, żeby nikt nie wiedział, gdzie jestem.

Jack głośno wypuścił powietrze.

- Nie do wiary. Uciekająca księżniczka. To szaleństwo. Wyciągnęła szyję, usiłując zobaczyć, gdzie jest śmigłowiec. - A jeśli zauważą kajak?

- To bez znaczenia. Jeśli nie szukają ciebie, to nie wylądują, bo nie wzywaliśmy pomocy.

Zerknęła na niego podejrzliwie.

- Jesteś pewien?

- Tak było w przeszłości.

Taka bliskość niebieskich oczu mąciła jej w głowie.

- Czyli jeśli odlecą, to znaczy, że o mnie nic nie wiedzą?

- Prawdopodobnie. - Odchrząknął i rozejrzał się. -

Przepraszam za te warunki.

Co takiego? Nie musiał przeproszać za to, że był tak blisko, że są do siebie przytuleni. Czują dreszcze na całym ciele.

- Nic nie szkodzi - odparła szybko. A potem doszła do wniosku, że zabrzmiało to nazbyt entuzjastycznie. - Nie musisz przeproszać, to nie twoja wina.

Zamilkli oboje, czekając, aż śmigłowiec wreszcie odleci. Wtedy Jack wydostał się spod gałęzi, odwrócił i pomógł jej wyjść.

Zdumiała się, kiedy otrzepał ją z liści i gałązek. Było to przyjemne i drażniące zarazem. Najpierw ją przeproszał, teraz

pomagał. Zmienił sposób zachowania wobec mej, reagując w ten sposób na jej błękitną krew.

Przez całe życie ludzie reagowali na jej tytuł i rósł w niej żal, że nie mogła nacieszyć się życiem zwykłej Isabelli. To mogło być takie zabawne.

- W porządku - powiedział Jack. - Wracajmy do chaty. Wyjaśnisz mi, co tu robisz.

Księżniczka! Jack złapał się za głowę. Po drodze zerkał na nią, jakby chciał sprawdzić, czy Isabella wciąż wygląda tak samo. Aż trudno było uwierzyć, że ta dziewczyna w wygniecionym ubraniu i z włosami w nieładzie jest prawdziwą księżniczką z Amorii.

A on wziął ją za Cyganę.

Jeśli się zastanowić, jej oświadczenie miało sens. Aż dziw, że tak łatwo jej uwierzył. Było w niej tyle uprzejmości i godności, nie licząc fascynacji prostym jedzeniem.

Cholera...

Zrobiło mu się gorąco na myśl o tym, jak ją traktował.

Zbeształ ją za nieposłane łóżko, kazał uprać rzeczy, wysłał na pająki z butem i żartował sobie z jej bielizny...

- Muszę się napić - powiedział, kiedy dotarli do chatki - ale mam tylko herbatę.

- Ja przygotuję - zaproponowała. Powstrzymał ją gestem.

- W porządku. Usiądź. Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Jack, nie traktuj mnie inaczej, kiedy już wiesz, kim jestem. Nie trzeba mnie obsługiwać.

Zmarszczył brwi i zapalił kuchenkę gazową.

- Mnie to nie przeszkadza.

- Przez całe życie traktowano mnie jak księżniczkę. Spodobała mi się odmiana.

- Coś jak książę i żebrak?

- Poniekąd. - Oparła się o szafkę i spojrzała na niego.

- Obiecasz mi coś?

- Mianowicie?

- Nie mów do mnie Wasza Wysokość, tylko po staremu Isabella.

- Bez obaw - roześmiał się. - Jestem Australijczykiem. Nie ulegamy tytułomanii. A jakie masz inne imiona? Pewnie dużo, jak to księżniczka.

Uniosła dumnie głowę.

- Isabella Mary Damaris Alice Martineau. Po moim bracie, księciu Daniorze, druga w kolejności do sukcesji amoriańskiego tronu.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Była niesamowita!

- Isabella Mary Cośtam Alice. A gdzie Carmen?

- Możesz mówić do mnie Carmen. - Niewinne spojrzenie w połączeniu z zalotnym uśmiechem ujęło go za serce i wypogodziło czoło. Isabella cicho westchnęła.

- Lepiej wszystko mi opowiedz - odezwał się poważnym tonem. Niech nie myśli, że z nią flirtuje.

Pokręciła głową.

- Po co mam cię obciążać moimi problemami?

- Ja o tym zadecyduję. - Nalał wody do zagotowania. - Nie obiecuję, że zdołam pomóc.

Stanął przed nią w wyczekującej pozie, z rękoma na biodrach. Przez chwilę kręciła głowę, przygryzała dolną wargę i uciekała wzrokiem, ale gdy spojrzała mu w oczy, zobaczył, że przełamała się.

- Mój narzeczony chce mnie zabić - powiedziała na pozór obojętnie.

- Cholera jasna - wyrwało mu się.

- Wiem, że to brzmi niewiarygodnie - ciągnęła. - Samej mi w to trudno uwierzyć.

- Ale dlaczego?

- Widzi nasze małżeństwo jako rodzaj konsorcjum, fuzję firm, która da mu dostęp do wszystkich moich pieniędzy i nieruchomości.

- Jak się o tym dowiedziałaś? Zaczęła nerwowo porządkować puszki.

- Mój stary przyjaciel, doktor Christos Tenni, usłyszał podczas konferencji w Genewie, jak Radik, hrabia de Montez, planuje to ze swoją kochanką.

- A to łajdak! Isabella zadrżała.

Jack wyjął jej z ręki puszkę, odstawił na miejsce i ujął drżące dłonie Isabelli.

Trwali tak przez dłuższą chwilę.

- Miałam zginąć w wypadku samochodowym w górach. Opowieść o własnej śmierci brzmiała abstrakcyjnie.

- Nie żartujesz?

- Bardzo bym chciała.

- Rozumiem, że doktor Tenni jest wiarygodny? Oczy jej wypełniły się łzami.

- To był mój lekarz, pracowałam w jego szpitalu, więc nie miałam powodu wątpić w jego słowa. Był dobrym przyjacielem.

- Powiedziałaś - był. Coś mu się stało? Tym razem nie powstrzymała łez.

- Następnego dnia po tym, jak mnie ostrzegł... - Wyrwała rękę i przycisnęła do ust, chcąc powstrzymać łkanie. - O Boże, Jack.

Objął ją i przytulił.

- Co się stało?

Łkając, przytuliła do niego głowę. Zanim doszła do siebie, minęła dłuższa chwila.

- To się stało następnego dnia. Przed szpitalem potracił go samochód. Sprawca zbiegł.

- Zabił go?

- Tak.

Jack zaklął pod nosem.

- Spanikowałam - dodała cicho. - Ojciec był daleko, nie wytrzymałam napięcia. Złapałam paszport, perukę, ciemne okulary i pojechałam na lotnisko.

Jej słowa ścisnęły go za serce. Niech to diabli! Mimo wszystko poczuł się w to wciągnięty.

Isabella wyczuła nagle napięcie i cofnęła się.

- Przykro mi, że cię w to mieszam.

- Dziwi mnie tylko, że wciąż chcesz za niego wyjść. Przecież nikt cię nie zmuszał.

- W pewnym sensie.

- Myślałem, że aranżowanie małżeństw to przeszłość. Wzruszyła ramionami.

- Najpierw myślałam, że go naprawdę kocham. Jest taki uroczy.

- Czort z nim. - Jack skrzyżował ramiona. - Ale kiedy się dowiedziałaś, co kryje ten urok, nie mogłaś odwołać ślubu?

- Trudno to wyjaśnić. Nie masz pojęcia, co dzieje się z księżniczką po ogłoszeniu zaręczyn. Straciłam kontrolę nad własnym losem. Królewski ślub to nie byle co. W Amorii żyje nim cały kraj.

Jack przypomniał sobie zamieszanie przy jego ślubie i skinął głową.

- Wiem, że stchórzyłam, uciekając - zrobiła niepewną minę - ale byłam przerażona. Nie wiedziałam, jak przekonać ojca do odwołania ślubu. Nasze stosunki są dość napięte. Niełatwo to zrozumieć.

- Przeciwnie. Rozumiem więcej, niż przypuszczasz.

- Ojciec - westchnęła - i jego doradcy są nim zauroczeni. A Radik ma zręczny język. Łatwo ich przekona, że zostałam źle poinformowana, oszukana.

- Nie masz nikogo, z kim mogłabyś porozmawiać?  
Rodzina, przyjaciele?

- Nie bardzo mam z kim. - Pokręciła głową. - Matka umarła, kiedy byłam dzieckiem. Brat jest zajęty studiami w Anglii i szpalerem blondynek pod jego drzwiami. A co do przyjaciół... - Wzruszyła ramionami. - Jeśli twoim ojcem jest król, niełatwo o nich.

- Więc postanowiłaś uciec?

- Australia jest tak daleko...

Jack skrzywił się, oglądając wnętrze chaty. Chciał na to spojrzeć jej oczyma.

- To lokum różni się od twego domu.

- Zaczynam się powoli przyzwyczajać, może z wyjątkiem pajaków.

Odchrząknął z zażenowaniem.

- Słuchaj, Jack, nie musisz mi pomagać, ponieważ ci cię zwierzyłam.

Podał jej wyszczerbiony emaliowany kubek. Usiadła na stołku, on jak zwykle na beczce po benzynie. Pochylił się i zamyślony wpatrywał w swój kubek.

- Kiedy ma odbyć się ten ślub?

- W sobotę.

- W tę sobotę? - Omal nie rozlał herbaty.

- Tak. Dlatego spanikowałam. Amoriańskie gazety nie piszą o niczym innym. Pół Europy zna każdy szczegół.

Gwizdnął przeciągle.

- Próba odwrócenia tego...

- To jak zawracanie rzeki kijem.

- Właśnie.

Jack oparł łokcie na kolanach i ściskając kubek w dłoniach, wpatrywał się w podłogę.

- Ten hrabia de Montez będzie cię chyba szukał? Rozpaczliwie pragnie dostarczyć cię na czas przed ołtarz.

- Chyba tak. Wolę o tym nie myśleć.

Jack wziął głęboki wdech i wolno wypuścił powietrze.

- I to wszystko, co ci się potem przytrafiło. Najpierw się zgubiłaś, potem ledwo uratowałaś się z wezbranej rzeki. Podczas burzy przedzierałaś się przez busz i dotarłaś tu półżywa. - Pokiwał głową. - Jest w tobie więcej z Carmen, niż podejrzewasz.

Był to z jego strony swoisty komplement.

- Ale dokąd jechałaś, kiedy zabłądziłaś?

- Do Johna i Elizabeth.

- Kingsleyów - Lairdów? Jechałaś do Killymoon?

- Tak. Kiedy w zeszłym roku wyjeżdżali z Amorii, serdecznie nas zapraszali. A że Killymoon jest tak daleko od Amorii, wydawało mi się znakomitym miejscem. Znasz ich? - Miała wrażenie, że zna dobrze Kingsleyów - Lairdów. Unikał jej wzroku i starannie dobierał słowa.

- Niewątpliwie gospodarstwo w Killymoon byłoby dla ciebie właściwsze. No i wygodniejsze.

Westchnęła, rozczarowana wymijającą odpowiedzią.

- Już bym tam była, gdybym nie skręciła w niewłaściwą drogę i nie wylądowała w rzece.

- Czemu nie zadzwoniłaś do Kingsleyów - Lairdów z Darwin? Przysłaliby po ciebie samolot.

- Dobrze ich znasz? Zamknął oczy.

- Wystarczająco.

- Spieszyłam się i nie chciałam zwracać na siebie uwagi, więc wynajęłam samochód i pojechałam. Nie mam pojęcia, jak dotrę teraz do Killymoon.

- Już jesteś na ich terenie.

- Naprawdę? - zdziwiła się. - Myślałam, że to jeszcze ze sto kilometrów.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Jesteś o sto kilometrów od siedziby, ale Killymoon to wielki majątek. Jeden z większych na świecie.

- Dobry Boże. - Z niedowierzaniem pokręciła głową. - Musi być większy niż Amoria.

Jack dopił herbatę i wstał. Sposób, w jaki się poruszał, wciąż robił na niej wrażenie, choć postanowiła zachować obojętność.

- Zawiozę cię do Killymoon - powiedział, celowo nie patrząc na nią.

- Jak? Przecież droga jest odcięta.

- Nie potrzebujemy drogi. Zresztą lepiej unikać dróg. Skąd wiesz, czy twój hrabia nie rozesłał ludzi?

- To jak inaczej dostaniemy się do Killymoon? Chyba nie przejdę stu kilometrów w tym upale.

Wyjrzał przez drzwi. Podążyła za jego wzrokiem i dostrzegła kajak.

- Wcale nie myślałem, by tam dojść. Zerwała się i stanęła obok mego.

- Chcesz powiedzieć, że dopłyniemy tam kajakiem?

- O tym właśnie myślałem. Rzeka ma wartki nurt, ale nie tak bardzo jak wczoraj i już nie przybiera. Wpada do rzeki Pinnaroo, która z kolei doprowadzi nas wprost do serca Killymoon. Przy odrobinie szczęścia zajmie to nam dwa, góra trzy dni.

- A co z twoimi planami? Podróż zabierze ci mnóstwo czasu.

Cień przemknął przez twarz Jacka.

- Moje plany są elastyczne. - Wzruszył ramionami. Mogła drażnić ten temat, ale coś w jego postawie sprawiło, że zrezygnowała. Gdyby Jack nie chciał jej pomóc, nie proponowałby jej tego.

Przyjrzał się jej taksująco.

- Myślisz, że dasz radę?



- Z czym?  
- Popłynąć tak daleko kajakiem.  
- Z rozkoszą - odparła bez wahania.  
- Będziemy nocowali pod gołym niebem. Zbladła przerażona wizją ataku dzikich zwierząt.  
- Będzie dobrze. Mam moskitiery - uspokoił ją.  
- Nie chodzi o komary. Wiem, że w Australii nie ma lwów ani tygrysów, ale...  
- Tak?  
- Co z węzami i krokodylami?  
- Krokodyle słodkowodne jedzą tylko ryby. Co do węży, owszem, po deszczu jest ich sporo, ale na ogół unikają ludzi.  
Popatrzył na nią łagodnie, przesunął palcem po jej policzku. Uśmiechnął się.  
- Nie zabrałbym cię rzeką, gdybym uznał to za zły pomysł. Ta droga ma zapewnić ci bezpieczeństwo.  
Zapewnić ci bezpieczeństwo.  
Te trzy słowa wypowiedziane niemal szeptem i ów delikatny dotyk uspokoiły ją natychmiast. Wzruszyła się.  
Ostatnie dni były koszmarne i Jack szybko stał się dla niej bohaterem na podobieństwo tych, którzy jawią się w marzeniach każdej dziewczyny. Jak bajkowy rycerz.  
- Będiesz moim bohaterem, Jack - powiedziała, obdarzając go niewinnym i kuszącym uśmiechem. - Pomożesz księżniczce? Przeprowadzisz mnie nietkniętą przez dolinę smoków?  
Wzdrygnął się.  
- Nie fantazuj. Nie ma w tym nic romantycznego. Zabiorę cię do Killymoon, ale nie rób ze mnie sir Lancelota eskortującego Ginewrę do zamku Camelot.  
Isabella nie była tego taka pewna.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Zjedli ostatni posiłek nad brzegiem jeziora. Patrzyli na wodę, obserwując, jak czarne kormorany próbują podkraść ryby pelikanom. Isabella miała poczucie winy, że to przez nią Jack musi opuścić ten uroczy zakątek, ale nawet jeśli mu to popsuło humor, nie dawał nic po sobie poznać.

Wyruszyli zaraz po lunchu. Najpierw przenieśli rzeczy ścieżką nad rzekę i zostawili je na brzegu, potem wrócili po kajak, który też musieli przetransportować.

- Upewnij się, księżniczko, że dokładnie pokryłaś tym swoją alpejską cerę - powiedział Jack, wręczając jej emulsję przeciwsłoneczną.

Skwapliwie zastosowała się do rady, a on w tym czasie starannie spakował wszystko do plastikowych pojemników na dnie kajaka.

- Lepiej weź również to - dodał, rzucając jej swój kapelusz typu akubra o szerokim rondzie.

- Przecież jest twój.

- Mój nos nie jest tak delikatny.

- Dzięki, ale obawiam się, że ten kapelusz jest dla mnie za duży.

Ku jej zdumieniu wziął w garść potężny pukiel jej ciemnych włosów.

- A gdyby tak upiąć je pod spodem? To powinno utrzymać go na głowie, prawda?

- Możliwe.

- Nie ruszaj się.

Jack nie miał najmniejszych problemów ze związaniem jej włosów w luźny węzeł, który wetknął pod kapelusz, za to Isabella nie bardzo wiedziała, co zrobić z nagłą falą gorąca, która rozlała się po jej całym ciele. Nigdy dotąd żaden mężczyzna, prócz fryzjera, nie zajmował się jej włosami w tak intymny sposób. Czowała, że zarumieniła się aż po samą szyję.

- Potrząśnij głową - polecił Jack, pochylając się i posyłając pod rondo promienny uśmiech.

Z początku ostrożnie, potem energicznie potrząsnęła głową. Kapelusz utrzymał się na miejscu.

- Najważniejsze, że działa - zauważył. - W porządku, ruszajmy.

Choć nurt nie był tak rwący jak wczoraj, wciąż był bardzo wartki. Isabella dosyć szybko zorientowała się, że dla zachowania sterowności kajaka muszą wiosłować tak, by wyprzedzić rzekę.

Przyływ adrenaliny, spowodowany raczej podnieceniem niż strachem, przyspieszył jej puls. Skoncentrowała się na utrzymaniu równego oddechu, rozluźniła ramiona i dzięki temu mogła nadążyć za szybkimi ruchami wiosła Jacka.

Błyskawicznie mijali krajobraz. Składał się on głównie z rosnących nad rzeką egzotycznych dla Isabelli drzew i krzewów. Kątem oka zauważyła płowego kangura, który oddalił się wielkimi susami.

- Prąd zwolni, kiedy dotrzemy do głównej rzeki - pocieszał ją Jack.

- Nie martw się, dam radę! - krzyknęła przez ramię. Wiedziała, że wieczorem będą ją bolały ręce i ramiona, ale mimo delikatnej budowy była silna i wysportowana. W domu zimą jeździła na nartach, latem pływała kajakiem, teraz więc cieszyła ją każda chwila.

Jednak żołądek dosłownie podszedł jej do gardła, kiedy za zakrętem zobaczyła ciemne skały wynurzające się z białej piany wodnej.

- Przełomy! - krzyknęła.

- Odłóż wiosło i trzymaj kapelusz! - zawołał Jack. - Przeprowadzę nas przez nie.

Przez ułamek sekundy poczuła się urażona. Dlaczego nie może pomagać? Jednak kiedy prąd chwycił ich i skierował

między skały, przyznała mu rację. Jack siedział na rufie i dzięki temu mógł lepiej i precyzyjniej sterować, a najmniejszy zły ruch z jej strony groził roztrzaskaniem kajaka o wystające głązy. Szybko odłożyła wiosło i wstrzymała oddech, gdy lekka łódka wystrzeliła do przodu.

Wzburzona woda ciskała nimi jak jesienny wiatr liściem. Wiedziała, że Jack musi użyć całej siły swych muskularnych ramion i wykorzystać doświadczenie, by utrzymać kajak z dala od przeszkód.

Nie śmiała się odwrócić, by na niego spojrzeć. Siedziała cicho i trzymając kapelusz, skuliła się, by Jack miał lepszą widoczność. Z przerażeniem spoglądała, jak w pędzie mijają niebezpieczne miejsca o centymetry.

Nagle znaleźli się na szerokiej, spokojnej wodzie.

- Tu właśnie strumień wpada do rzeki Pinnaroo - wyjaśnił Jack. - Jak było?

Odwróciła się i zobaczyła zapierające dech w piersi ogniki w niebieskich oczach. Odwzajemniła uśmiech.

- To bardzo emocjonujący spływ. Czegoś takiego jeszcze nie przeżyłam, dziękuję.

Mówiła szczerze. Wyjście z roli księżniczki i przeżywanie własnych przygód było spełnieniem jej największego marzenia. Choć ta przygoda w australijskim buszu u boku Jacka potrwa najwyżej kilka dni, dla niej pozostanie skarbem.

Zachowa ją w pamięci na zawsze. Będzie często wracała do tych chwil.

Musi zapomnieć o zagrożeniu ze strony Radika i żyć. Smakować wszystko.

Teraz po obu stronach rozciągała się szeroka rzeka o wysokich wapiennych brzegach, a nad głową kopuła błękitnego nieba.

- Zaraz będziemy zmierzali w dół rzeki - powiedział Jack i płynnie zagarnął wodę wiosłem. - Im dalej wzdłuż Pinnaroo,

tym nurt będzie spokojniejszy. Wszystkie dopływy pochodzą z wapiennych wzgórz i są bardzo aktywne wiosną.

Wiosłowali bez pośpiechu, a kajak posuwał się naprzód. Było co oglądać. Rzeka, podobnie jak jezioro, przyciągała mnóstwo ptaków. Isabella, zadowolona, że potrafi rozpoznać większość z nich, obserwowała z przyjemnością, jak pływały, nurkowały, brodziły lub wygrzewając się w słońcu, suszyły rozpostarte skrzydła.

Każde zakole rzeki przynosiło nowe wspaniałe widoki.

Na szczytach wysokich brzegów rosły piękne drzewa gumowe o strzelistych białych pniach i inne, ciemnobrązowe. W ich cieniu kryły się stada srebrzystobiałego bydła o wielkich pyskach, kłapciatych uszach i garbach przypominających wielbłądzie. Zwierzęta z zainteresowaniem obserwowały przepływający kajak.

Drażniło ją tylko, że nie może patrzeć na Jacka, nie odwracając się. Widziała w wyobraźni, jak grają mięśnie jego opalonych ramion, kiedy wiosłuje. Miło było marzyć, że odkrywają nieznane tereny, a Pinnaroo to Amazonka lub Nil.

Ona i Jack są sami w gorącej dzikiej głuszy.

Tarzan i Jane...

Za następnym zakrętem wapienne skały zbliżyły się z obu stron, rzeka zwęziła się i pomknęli prędzej, aż nurt wyniósł ich na zdumiewająco czyste jezioro o piaszczystym dnie i brzegach porośniętych czymś w rodzaju palm.

- Gorąco ci? - spytał Jack. - Mnie tak. Muszę się zaraz wykąpać.

Było jej niezmiernie gorąco. Włosy pod kapeluszem były mokre, na koszuli pojawiły się plamy potu. Woda wyglądała na czystą, chłodną... zapraszała. Ale...

- Nie mam kostiumu kąpielowego. Usłyszała śmiech Jacka.

- Wybacz, księżniczko - rzekł, kiedy oboje wyszli na ląd - ale w buszu nie obowiązuje etykieta.

Mówiąc to, zrzucił buty, ściągnął koszulę i rozpiął dzinsy. Zostawił za sobą ubranie, porozrzucone niedbale na brzegu.

Wielkie nieba, nie miał na sobie nic prócz kusych majteczek. Jednak nie wstrząsnęło nią to na tyle, by nie zauważyła doskonale ukształtowanej sylwetki.

Widok rozebranego Jacka w dzień był zupełnie innym doświadczeniem od tego, co przerażona i półżywa ujrzała w świetle lampki, gdy dotarła do chaty. Teraz szerokie ramiona, gładkie, opalone plecy, wąskie biodra i długie, umięśnione nogi wywoływały w niej dreszcz podniecenia.

Uśmiechnął się szelmowsko.

- Dołączysz do mnie?

Odruchowo dotknęła górnego guzika koszuli.

- Raczej nie.

Kiwnął głową, jakby rozumiał jej obawy, potem stanął na brzegu i skoczył do wody pięknym łukiem.

Isabella obserwowała silne pociągnięcia ramion, kiedy płynął na drugą stronę jeziora. Czy się odważy? Popołudnie było gorące i kąpiel przyniosłaby ulgę. Tylko jak ma się tu rozebrać? Owszem, Jack widział jej ciało, kiedy zdejmował z niej mokre ubranie, ale roznegliżowanie się w biały dzień wydawało się krokiem nazbyt odważnym.

Prawie dopłynął do połowy jeziora. Może chce dać jej nieco przestrzeni i prywatności?

Gdybym była odważniejsza, zrobiłabym to. Gdyby to był hollywoodzki film...

Czemu wciąż myśli o Hollywood? Może dlatego, że jej życie staje się coraz mniej realne?

Popatrzyła na Jacka, który w oddali pływał swobodnie na grzbiecie. Gapił się w niebo i wcale nie interesował się jej rozterkami...

Jack usłyszał plusk. Obejrzał się, zobaczył kręgi na wodzie, a potem wynurzającą się głowę Isabelli.

- A niech mnie... - powiedział cicho i uśmiechnął się, widząc, jak płynie ku niemu energicznie, acz niewprawnie pracując rękoma.

Leniwie ruszył jej na spotkanie.

- No i jak? - spytał, kiedy znalazł się bliżej. Ciężar wody rozprostował jej kręcone włosy, które opadły jedwabistą czarną zasłoną na jedną stronę twarzy.

- To jezioro jest piękne - odparła ze śmiechem. - Czuję się taka wolna. - Wzbiła trochę wody w powietrze i przyglądała się opadającym w słońcu kroplom.

- Tu jesteśmy wolni - przytaknął. - Dlatego tu przyjeżdżam. Jesteśmy wolni jak ptaki.

Nagły odgłos nad głową przykuł jego uwagę i dojrzał w górze parę szarych sokołów szybujących w przestworzach. W tej części pustynne ptaki pojawiały się rzadko. Dryfując na wznak, obserwował je do chwili, kiedy usiadły na odległym drzewie gumowym.

- Jack! Ratunku! Ratunku!

Krzyk Isabelli wyrwał go z zamyślenia. W okamgnieniu znalazł się obok niej.

- Co się stało?

Objęła go i przywarła do niego, drżąc z przerażenia.

- Coś mnie dotknęło - zawołała. Czuł, jak gwałtownie bije jej serce. - Czy to krokodyl?

- Nie wydaje mi się. - Nie powstrzymał uśmiechu.

- To nie jest zabawne. O Boże! Muszę się stąd natychmiast wydostać.

Wyrwała się z jego objęć, lecz kiedy się oddaliła, ponownie wpadła w panikę.

Zanurkował, objął ją i uniósł wyżej.

- Bez paniki - powiedział, kiedy krztusiła się i kasłała. - Jestem. Trzymam cię. Spróbuj się uspokoić, a ja doholuję cię do brzegu.

Podtrzymując ją jedną ręką, dopłynął do brzegu.

- O, Jack... mój Boże - łkała, wciąż tuląc się do niego na przybrzeżnej płyciźnie. - Dziękuję.

Nadal trzymała się go mocno, starając się uspokoić wzburzony oddech. Jack bez słowa przygarnął ją, próbując nie myśleć o tym, jak dobrze jej szczupłe ciało mieści się w jego objęciach.

- Przepraszam - odezwała się po dłuższej chwili - ale to było okropne. Nie mogłam znieść, gdy to coś w wodzie otarło się o mnie.

- Nie musisz się usprawiedliwiać - odparł, odsuwając wilgotny kosmyk z jej policzka. - Powinienem cię uprzedzić. W tej rzece są różne stworzenia: ryby, węgorze, żółwie, ale nie ma nic naprawdę niebezpiecznego.

Podniosła swoje piękne, ciemne oczy i spojrzała na niego spod lśniących od wody rzęs.

- To coś dotknęło mojej nogi - szepnęła. - Tyle się nasłuchałam historii o ludziach pożartych w Australii przez krokodyle.

- Ludzi atakują tylko słonowodne krokodyle. Tutaj żyją jedynie słodkowodne.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie. Wodospad Pinnaroo jest kilka kilometrów za posiadłością Killymoon. Nie ma tam żadnego krokodyla. - Uśmiechnął się. - Nie potrafią wdrapywać się na skały ani popłynąć w górę wodospadu. Spokojnie. Uważam. Nigdy nie pływałbym między słonowodnymi krokodylami.

Delikatnie odsunął się od niej z nadzieją, że nie zauważyła zażenowania, jakie odczuwał z powodu jej bliskości.

- Zepsułam ci kąpiel - powiedziała.



- Nieważne. Już się schłodziłem. - Żarty jej się trzymają.  
.. Odwrócił się od niej, poszedł po dzinsy i włożył je na mokre slipy.

Zerknął na Isabelle. Spojrzała na siebie i gwałtownie poczerwieniała, bo dopiero teraz zauważyła, że mokra bielizna stała się przezroczysta. Odwróciła się tyłem do niego i chwyciła swoje ubranie.

- Mam nadzieję, że szybko wyschniemy podczas wiosłowania. - Obejrzała się, wciąż trzymając przed sobą ubranie jak tarczę.

Odrzuciła długie włosy przez jedno ramię, nieświadomie odsłaniając szczupłe, białe plecy. Jack zorientował się, że z przyjemnością kontempluje proste łopatki i kuszące zaokrąglenie pośladków.

Odwrócił się i ruszył brzegiem, dając jej czas na ubranie się. Niech to szlag, powinien myśleć o Geri. Odtworzył w pamięci portret żony, ale okazało się, że przypomnienie sobie jej figury, ruchów czy uśmiechu wymagało pewnego wysiłku.

Ukrył twarz w dłoniach i skoncentrował się na tym, by zapomnieć o tej dziewczynie i wywołać z pamięci postać swojej żony i to, jak się czuł w jej ramionach.

Nie mógł sobie przypomnieć. Przerażony, wstrzymał dech. Kiedy tylko zaczynał widzieć Geri, jej obraz rozpływał się. Próbował znów i znowu bezskutecznie. W gardle zaczął narastać mu krzyk wściekłości. Wiedział, że to już tylko krok do łez.

Wciągnął powietrze i wziął się w garść.

Kiedy wrócił, Isabella przyglądała mu się z widocznym zakłopotaniem.

- Jack, tak mi przykro. Chyba nie sądzisz, że będziesz musiał uspokajać mnie za każdym razem, gdy się czegoś wystraszę?

- Oczywiście, że nie - odburknął. Znowu się zaczerwieniła.

- Przepraszam, że się na tobie tak uwiesiłam.

- Nie myśl o tym więcej, ja też nie będę.

Akurat, pomyślał, upewniając się, że nie patrzy mu w oczy. Energiczniej niż potrzeba wrócił do kajaka i zepchnął go z powrotem na wodę.

Płynęli, aż słońce zaczęło chylić się ku zachodowi i nad rzeką rozciągnęły się długie cienie.

Gdy Isabella wyszła wreszcie na brzeg w miejscu, które Jack wybrał na obozowisko, ręce, ramiona i plecy miała sztywne i obolałe. Tymczasem Jack wyciągał kajak bez jakichkolwiek oznak zmęczenia.

Nie chciała patrzeć na niego, ale nie mogła się powstrzymać. Fascynowała ją pewność, z jaką robił najprostsze rzeczy. Podczas zbierania suchych gałęzi na ognisko zerknęła ukradkiem. Rozciągnął linkę między dwoma drzewami, przymocował do niej moskitierę, a nad nią cienki zielony nylonowy baldachim.

- Nie powinno padać, ale to zabezpieczy nas przed przelotnym deszczem - wyjaśnił, patrząc w bezchmurne niebo. Potem ukląkł i zrobił w piachu dwa zagłębienia, w które włożył śpiwory.

Przełknęła ślinę, widząc, jak są blisko siebie. Tej nocy położy się tuż obok Jacka. Na myśl o tym zrobiło się jej gorąco.

- Czy wystarczy drewna? - spytała, chcąc zagłuszyć niepokój.

Jack zerknął na przyniesioną kupkę i uśmiechnął się ironicznie.

- Na początek, owszem, ale potrzebujemy większych polan, żeby przygotować żar, w którym przyrządzimy naszą rybę.

- Racja - odparła rzeczowym tonem, by ukryć zmieszanie. Na pewno zorientował się, że nigdy dotąd nie zbierała drew na ognisko, a tym bardziej nie piekła ryby.

- Pomogę ci.

- Nie trzeba. Dam sobie radę - odpaliła ostro i natychmiast pożałowała swej arogancji. Jack zrezygnował ze swych planów, by dowieźć ją bezpiecznie do Killymoon. Więc winna mu jest przynajmniej odrobinę uprzejmości.

- Chętnie rozejrzę się za większymi kłodami - dodała pojednawczym tonem. - Tymczasem złowisz rybę.

Kiedy ognisko już zapłonęło, usiadła obok na piasku. Trzymając kolana rękoma, obserwowała, jak Jack łowi ryby.

Miejsce było cudowne. Ostatnie promienie zachodzącego słońca grzały jej plecy i muskały opalone ramiona Jacka, nadając wodzie wygląd płynnego złota. Samotna biała czapla żerowała po przeciwnej stronie, poruszając się z godnością po płyciźnie.

Ta sielska scena powinna poprawić jej nastrój, tymczasem czuła się bardzo przygnębiona. Może był to skutek zmęczenia długim wiosłowaniem, ale kiedy poważniej się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że jej nastrój ma związek z Jackiem.

Za bardzo go polubiła. Jego towarzystwo sprawiało jej zbyt dużą przyjemność i nadmiernie przejmowała się tym, co o niej myślał. Wszystkie te uczucia nie miały sensu. Niezależnie od tego, że oboje należeli do różnych światów, a ona wkrótce powróci do swego, czuła jakąś więź z Jackiem i smutek, że odgrodził się od niej barierą, której nigdy nie uda się jej sforsować.

Nic nie wiedziała o jego życiu, a on najwyraźniej nie miał zamiaru jej o tym mówić. Nawet nie podał nazwiska.

Popatrzyła na bose, zagłębione w piasek stopy. Sęk w tym, że choć na zdrowy rozum zaakceptowała jego postawę, serce

nie chciało być równie rozsądne. Stawała się beznadziejną romantyczką. Nawet teraz, kiedy siedział nad wodą, pragnęła go aż do bólu, do łez.

Ale to głupie!

Rozległ się nagły plusk, żyłka naprężyła się i Jack wydał okrzyk triumfu.

- Mam cię, ślicznotko! - zawołał, wyciągając na piasek dużą, lśniącą rybę.

Podbiegła do niego.

- Jest jadalna?

- Jak najbardziej. To złoty okoń. Przepyszny.

- Ale jak ją przyrządzimy? Nie mamy patelni. - Rozejrzała się zdumiona po plaży, na której płonęło ognisko. Jack wspomniał o przyrządzaniu ryby. Jak można ją usmażyć bez kuchni, a przynajmniej kuchenki turystycznej?

Jack uśmiechnął się, jakby czytał w jej myślach.

- Przyrządzę ją jak dawni wędrowcy. Będiesz zachwycona, kiedy spróbujesz.

Zafascynowana patrzyła, jak scyzorykiem wycina szeroki pas białej kory z najbliższego drzewa, zawija w nią rybę wraz z zabraną z chaty suszoną cebulą i marchewką. Całość związał wyrwaną w zaroślach gałązką i spojrzał na Isabelle. Niebieskie oczy lśniły, kiedy się uśmiechał, a jej głupie serce tańczyło z radości.

Kiedy przygotowywał rybę, ogień przygasł. Przysypał żar piaskiem, potem położył na wierzchu zawiniątko z kory, przykrył kolejnym kawałkiem i całość zasypał piaskiem.

- To jest nasza patelnia - powiedział. - Teraz rozpale następne ognisko, przy którym się ogrzejemy. Po zachodzie słońca temperatura szybko spadnie.

Zrobił to szybko i sprawnie. Po chwili ogień płonął wesoło, a on usiadł obok niej na piasku.

Taka bliskość Jacka zaburzyła oddech Isabelli. Skoncentrowała się na obserwowaniu horyzontu. Słońce już zachodziło, ale za odległą linią wzgórz wciąż widać było ognistą poświatę.

- Jutro zapowiada się gorący dzień. - Jack również oglądał zachód słońca. - Jak zwykle podczas pory deszczowej jest w miarę znośnie, kiedy popada, potem jednak robi się coraz bardziej parno i gorąco. Aż do następnej fali ulew.

- Teraz jest bardzo przyjemnie - odparła Isabella. Ponieważ Jack nie odpowiadał, ciągnęła dalej. - Oczekiwanie na kolację uprzyjemniłby jakiś drink, choćby sherry. - Tak naprawdę nie chodziło jej o drinka, ale musiała powiedzieć coś obojętnego, by przestać myśleć o Jacku, zwłaszcza po tym, kiedy ze zdziwieniem odkryła, jak bardzo by chciała, by ją pocałował.

Zdumiała się, widząc, że się nachmurzył.

- Tym razem nie zabrałem ze sobą żadnego trunku.

- Nie akceptujesz alkoholu?

- Nie o to chodzi, ale nie chcę pić, zwłaszcza kiedy jestem sam. - Zmrużył oczy, wpatrując się w odległy punkt - Sporo przeszedłem w ostatnich latach. Straciłem kogoś bliskiego. Alkohol i załamanie to kiepska mieszanka.

Ramiona Isabelli pokryły się gęsią skórą. Współczucie i zdumienie ścisnęły jej gardło. Od ponad doby coraz silniej odbierała przygnębienie Jacka. Kto umarł? Czy kobieta, którą kochał? Żona?

- Tak mi przykro - szepnęła.

Skinął głową, nie patrząc na nią i siedział bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w odbijające się w wodzie płomienie. Widziała, jak napiął ramiona i zacisnął trzymane na kolanach pięści.

Czyżby żałował swego wyznania? Skupiła uwagę na gwieździe, błyszczącej jasno na tle nocnego nieba. Może potrzebna jest mu rozmowa...

- Ilekroć wieczorem jestem gdzieś poza domem, obserwuję gwiazdy i wspominam mamę - odezwała się, nie patrząc na niego. - Kochała gwiazdy. Znała nazwy wszystkich konstelacji i opowiadała mi cudowne historie o tym, jak powstały.

Jack skinął głową i najpierw powoli wziął głęboki wdech, potem równie wolno wypuścił powietrze, jakby starał się rozluźnić.

- Wkrótce będziesz mogła zobaczyć Krzyż Południa.

- Pokaż mi go. Zawsze marzyłam o tym, by go ujrzeć. Mimo że na niego nie spojrzała, wiedziała, że on na nią patrzy.

- Powiedziałaś, że twoja matka umarła.

- Tak - odparła ostrożnie, zastanawiając się, czy będzie chciał mówić o bólu. Utkwiła wzrok w wodzie. - Miałam zaledwie dziesięć lat, byłam na dnie rozpacz i myślałam, że nigdy mi to nie przejdzie.

- Ale przeszło?

- W końcu tak, ale nadal za nią tęsknię. Była najważniejszą osobą w moim życiu. A poza tym... ojciec nie umiał ze mną rozmawiać. - Pochyliła się i ramionami objęła kolana. W tej chwili potrzebuję matki bardziej niż kiedykolwiek. Na pewno wstawiłaby się za mną u ojca przeciwko Radikowi.

Jack przesunął się po piasku nieco bliżej i od razu serce zaczęło jej walić. Dotknął palcami jej policzka.

- Biedna Carmen - szepnął.

Ten szept był cichszy od wiatru, tak czuły, że zaparło jej dech w piersiach, i tak intymny, że rozpałił jej krew.

- Nie zachęcaj mnie do rozczulania się nad sobą - odparła z wymuszoną lekkością.

- Jak mogę cię pocieszyć?

O Jack, co za pytanie. Mógłbyś zacząć od muskania ustami moich warg.

Co się z nią dzieje? Czy nie potrafi rozróżniać dobra od zła? Jak może całym ciałem pożądać pocałunku pogrążonego w żałobie człowieka?

- Chcesz pomówić o swojej stracie, Jack?

- Nie dziś wieczorem.

Ostry ton głosu sprawił, że się odwróciła. Gra świateł i cieni ogniska podkreślała męskie rysy i ładne usta.

- A o czym chciałbyś mówić? Spojrzał na nią ze smutkiem w oczach.

- Jestem otwarty na propozycje.

- Cóż... musimy znaleźć jakiś temat, bo inaczej...

- Co takiego?

W chybotliwym świetle dostrzegła, że patrzy na nią z głodem w oczach. Zrobiło jej się tak gorąco, że omal nie wyskoczyła za skóry.

- Inaczej zacznę żałować, że nie jestem Cyganką o imieniu Carmen.

- A co byś zrobiła, będąc nią?

Teraz? Kiedy jestem z tobą sama w tej dziczy, Jack, ty uroczy przystojniaku? Próbowала się roześmiać, ale zabrzmiało to raczej jak czkawka.

- A co, twoim zdaniem, zrobiłaby Carmen? Nie odpowiedział.

Mierzyli się wzrokiem i jego milczenie zdawało się wypełniać noc. Isabella czuła, że serce zaczyna jej niebezpiecznie przyspieszać. Zapach palonego w ognisku drewna sandałowego działał jak wonne kadzidło.

Gruba gałąź przełamała się w ogniu, wzbijając snop iskier.

Jack przysunął się bliżej.

Dźwięk, który wydała Isabella, nie zdążył przerodzić się w słowo, bo Jack zamknął jej usta pocałunkiem. Był to dziki i namiętny pocałunek. Usta miał tak gorące i zaborcze, że nie pozostało jej nic innego, jak mocno wtulić się w jego ramiona. Nie zastanawiała się nad tym, czy robi dobrze, czy źle. Zdumiewająco szybko poddała się namiętności. Rozchyliła wargi, by mógł ją całować głębiej, bardziej namiętnie.

Gdy oderwał się od niej, wydała jęk protestu.

Ich spojrzenia spotkały się. W jego niebieskich i jej ciemnych oczach widać było zdumienie z powodu tego, co się stało, i pewność, że muszą to powtórzyć.

- Słodka Carmen - szepnął i delikatnie odsunął jej z czoła kosmyk włosów. Serce jej zadrżało. Krew zaczęła krążyć szybciej. Podała mu usta.

Tym razem oboje rozchylili wargi. Jack delikatnie pieścił jej twarz, a potem powoli dotknął jej ust. Gorące i twarde wargi stały się ciepłe, miękkie i kuszące, kiedy robił to ze zmysłową ciekawością.

Te pieszczoty były dla niej nowym doświadczeniem. W przeszłości niewinna księżniczka Amorii co najwyżej pozwalała się całować. Teraz Isabella była aktywna, namiętna.

Objęła go czule za szyję i za każdym razem, gdy Jack poruszył głowę, by drażnić jej usta gorącymi wargami, pomagała mu w tym.

Gdy zaczął pokrywać jej szyję i ramiona pocałunkami, odchyliła głowę do tyłu, odsłaniając wrażliwą skórę. Palcami przesuwał po jej ramionach. Każde dotknięcie wywoływało w niej dreszcz pożądania. Pragnęła, by dotykał jej wszędzie.

Zatraciła się w tym podnieceniu.

Osunęli się na piasek, mocno przywierając do siebie.

- Och, Jack - szepnęła. Był taki silny, męski i pełen seksu. Ogarnęły ją ogień i pożądanie.



Znów się od niej oderwał i odsunął na bok. Wiejący od rzeki chłód nieprzyjemnie owionął jej rozgrzane ciało. Leżeli w ciszy i patrzyli w gwiazdy, czekając, aż ich oddechy się uspokoją.

- Powinienem cię za to przeprosić - odezwał się po jakimś czasie.

- Proszę, nie.

Zerknęła na niego. W blasku księżyca jego profil przypominał kamienną maskę. Nie zniosłaby, gdyby był na nią zły. Wiedziała, że nie zamierzał jej pocałować. To stało się spontanicznie. Czyż nie takie powinny być najwspanialsze pocałunki?

- Nie musisz usprawiedliwiać się przed Carmen. Uśmiechnął się w zadumie, potem bez słowa wstał, podszedł do ognia, przykucnął i patykiem rozgrzebał węgle. Wyjął zawiniątko, a wokół roztoczyła się smakowita woń pieczonej ryby.

Jak mógł myśleć o czymś tak przyziemnym, jak jedzenie? Nie tego jej było trzeba. Chciała Jacka. Potrzebowała jego pocałunków i pieścizot. Ciało miała rozgrzane, płonęła.

Ale on całą uwagę skupił na jedzeniu.

- Cudownie pachnie - powiedziała ze sztucznym entuzjazmem w głosie. - Poczulałam, że jestem głodna.

Jedli w milczeniu. Przełożyli pieczoną rybę i jarzyny na talerzyki z kory. Wiedziała, że oboje są poruszeni intensywnością pocałunków, a tymczasem Jack zachowywał się tak, jakby nic się nie stało.

- To jest po prostu pyszne - stwierdziła, lecz on ledwo skinął głową.

Po kolacji, kiedy ogień przygasł, a księżyc wspiął się wyżej, ze zdumieniem stwierdziła, że ziewa.

- Chyba zmogło mnie zmęczenie.

- Powinniśmy położyć się wcześniej - odparł ostrożnie.

Kiedy wsunęli się do zaimprovizowanego namiotu i położyli w śpiworach, napięcie powróciło. Powiedzieli sobie dobranoc.

Isabella wciąż ukradkiem zerknęła na Jacka, którego ciepło czuła obok. Wiedziała, że jest zły na siebie, iż ją pocałował. Ale zrobi to. Sam z siebie, i to z taką namiętnością, o jakiej zawsze marzyła.

Gdy tak leżała i starała się uspokoić, nie myśleć o węzach i różnym robactwie, które mogło w nocy wkraść się do ich namiotu, pomagały jej wspomnienia tych gorących pocałunków, które były jak miła i ciepła obietnica.

I to powinno jej wystarczyć.

Jack leżał na plecach z rękami pod głową i przez otwór w baldachimie spoglądał na gwiazdziste niebo.

Ten pocałunek był wielkim błędem.

Powinien był zapamiętać, że Isabella chciała zobaczyć Krzyż Południa. Trzeba było porozmawiać o astronomii, zamiast całować księżniczkę Amorii, jakby była jedyną kobietą na świecie.

Co, do cholery, myślał? Pocałunek w rękę czy policzek był dopuszczalny, ale on pocałował ją z namiętnością, która nim wstrząsnęła.

Jej reakcja była równie szokująca. Niezwykła mieszanka słodkiej panienci z dobrego domu i niezwykle seksownej, namiętnej kobiety. Isabelli i Carmen. Czyżby stracił głowę? Włożył całe serce i duszę w ten pocałunek, choć wiedział, że było to bez sensu.

Nie mówiąc już o tym, że Isabella była Europejką z królewskiego rodu, a on zwykłym śmiertelnikiem z drugiej półkuli. Miał ją chronić, nie wykorzystywać. Złamał też złożoną sobie obietnicę, że ten tydzień poświęci pamięci ukochanej żony.

Do diabła, było jeszcze coś, co powinien rozważyć. Księżniczka Isabella była młoda, romantyczna i uciekała przed złym narzeczoną. Na pewno nie potrzebowała kolejnego amanta, który będzie igrał z jej uczuciami, by ją w końcu opuścić.

W tej sytuacji pozostawała mu tylko ucieczka. Kiedy dotrą do Killymoon, wysadzi ją na brzeg i zniknie.

W dodatku w rezydencji Killymoon nikt nie ucieszy się z jego przybycia.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rzeka była jeszcze spowita mgłą, kiedy rano wsiedli do łódki. Opary były tak nisko, że niemal mogli ich dotknąć. Panowała niczym niezmacona cisza. Kiedy ich łódka bezszelestnie sunęła w tej mgle, słycać było jedynie powiew wiatru w drzewach i plusk wiosła. Nawet ptaki milczały.

Gdy się ociepliło, mgła rozsunała się jak kurtyna w teatrze, odsłaniając piękny widok błękitnego nieba, szerokiej, brązowej rzeki i majestatycznych, wysokich kamiennych brzegów.

Isabella poczuła, że kajak zwalnia, a Jack hamuje gwałtownym pociągnięciem wiosła.

- Przestań wiosłować - powiedział cicho, lecz rozkazująco.

Odwróciła się, by spojrzeć na niego. Gwałtowny ruch rozbujał kajak i Jack zaklął pod nosem.

Co go tak zdenerwowało?

Patrzył na wyniosłą grań królującą nad zakolem, do którego się zbliżali. Podążyła za jego wzrokiem i wtedy ich zobaczyła. Trzy ciemne postacie na koniach. Stały nieruchomo, obserwując ją i Jacka. Włosy jej się zjeżyły na głowie.

- Kim oni są? - spytała przez ramię. - Coś nie tak?

- Bądź cicho. Najlepiej milcz.

Zaniepokojona i urażona ostrym tonem, siedziała bez ruchu, podczas gdy on skierował kajak do brzegu, zawiązał cumę na gałęzi i wyskoczył na brzeg.

Chciała podążyć za nim, lecz brutalnie przytrzymał ją za ramiona.

- Jack? Na miłość boską!

Bez słowa pchnął ją tak, że wylądowała na swoim miejscu. Co się z nim dzieje? Bardzo starała się

współpracować, ale nie godziła się na takie traktowanie. Potrząsnęła dumnie głową i spojrzała na niego.

- Domagam się...

- Nie czas na królewskie fochy - wycedził przez zęby. - Później wszystko wyjaśnię, ale teraz masz mnie słuchać. Zostań tu i nie waż się wychodzić na brzeg.

Siedziała zaszokowana, podczas gdy Jack szedł szybko pod górę. Obejrzał się tylko raz, by sprawdzić, czy go posłuchała, a potem szedł na spotkanie milczących jeźdźców na górze. Wdziąka, że są ciemnoskórzy, że noszą ciemnozielone koszule i dzinsy. Ich kapelusze z ogromnym rondem przypominały ten pożyczony jej przez Jacka.

Kiedy Jack zbliżył się do nich, dwaj oddali wodze trzeciemu i zsiadli z koni. Byli zbyt daleko, by mogła usłyszeć głosy, ale zauważyła, że nie podali sobie rąk i że Jack ukucnął wraz z nimi.

Prowadzili jakąś nad wyraz poważną dyskusję. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy też spotkanie miało charakter ceremonialny?

Wierciła się w łódce, spoglądała w dół rzeki, zastanawiając się, czy w buszu kryją się inni obserwatorzy. Niewiele wiedziała o tym dzikim, odległym kraju oraz o mężczyźnie, który miał w rękach jej los.

Ten mężczyzna wczoraj namiętnie ją całował. Czy wykazała brak rozsądku, zawierzając mu?

Narada nie trwała długo. Jack wkrótce wstał i ruszył z powrotem ku rzece. Isabella prowadziła go wzrokiem, przyglądając się, z jaką lekkością zmierza w dół stromym zboczem. Potem znów spojrzała ku tajemniczym jeźdźcom.

Zniknęli.

Zdumiała się. Jak mogli wynieść się tak szybko? Oczywiście wsiedli na konie i odjechali, ale nie zauważyła

żadnego ruchu na górze. Trudno było uwierzyć, że po prostu rozpląnęli się w buszu.

Kiedy Jack wrócił, zerwała się, pragnąc wyjść na brzeg.

- Nie, Isabello - powiedział szybko. - Zostań w kajaku. Wszystko ci wyjaśnię, ale nie wysiadaj. - Choć mówił to łagodniej niż poprzednio, czuła, że musi go usłuchać.

Zaciekawiona, siedziała spokojnie, przyglądając się, jak Jack pochyła się i zaczerpnąwszy jedną ręką trochę wody, obmywa twarz.

- Ci ludzie - odezwał się wreszcie - to Wondarra, a ten odcinek rzeki, obejmujący całe zakole, jest dla nich święty.

- Są Aborygenami?

- Tak.

- Nie miałam pojęcia, że mieszkają tu jacyś ludzie. Przecież mówiłeś, że ta ziemia należy do Kingsleyów - Lairdów.

- Formalnie tak, ale według tradycji to Wondarra są panami tej ziemi. Są tu od tysięcy lat i mają specjalne prawa do odwiedzania swoich świętych miejsc. Musimy to po prostu uszanować.

- Rozumiem, ale czemu byłeś taki zdenerwowany? - I niegrzeczny wobec mnie, dodała w myślach.

- Domyślałam się, że przywykłaś do rozkazywania, ale ja też - westchnął Jack. - Właściwie nie powinienem ci tego mówić, ale według nich to zakole należy wyłącznie do mężczyzn. W przekonaniu ludzi Wondarra nie ma tu miejsca dla kobiet. Nawet kobiecy głos może być uznany za profanację. Musiałem do nich pójść, by okazać im swój szacunek i zapewnić ich, że również z tobą nie będzie żadnych problemów.

- Wielkie nieba! - Musiała przetrwać tę informację. Nie podobało się jej to, co usłyszała, ale nie był to odpowiedni moment do demonstrowania feminizmu. Czuła przy tym

wdzięczność wobec losu, że to Jack, który znał i rozumiał teren, był jej przewodnikiem. Gdyby sama wpadła na tych mężczyzn, mogłoby się to dla niej źle skończyć. - Już w porządku?

- Jasne. Musisz tylko milczeć i wykonywać moje polecenia przez najbliższe dwadzieścia kilometrów.

- Dwadzieścia kilometrów? Żartujesz chyba. Roześmiała się.

- Oczywiście. Ale i tak warto było spróbować, Wasza Wysokość.

Zanim Jack zarządził postój na kąpiel, Isabella była już bardzo zmęczona. Dlatego bez wahania skoczyła za nim do wody. Mimo że w rzece pełno było wodorostów, o które ocierała nogami, nie dała po sobie poznać najmniejszych objawów strachu.

Po lunchu odpoczywali rozciągnięci na piasku w cieniu akacji, przez liście której sączyło się słońce.

- Nie daj mi zasnąć, bo mogę się nie obudzić - powiedziała.

- Chcesz porozmawiać? - spytał powoli Jack, nie otwierając oczu.

- Jeśli dzięki temu nie zasnę.

- Opowiedz mi coś więcej o tym twoim narzeczonym.

- A co byś chciała wiedzieć?

- Mówiłaś mi, że jest szarmancki i czarujący. Czy to znaczy, że go kochałaś?

Nie odpowiedziała.

Jack otworzył oczy i odwrócił się w jej stronę. Sącące się przez liście słońce wymalowało wzory na jej twarzy, ale i tak dostrzegł, że ma zaciśnięte usta.

- Isabella?

- Ujmę to następująco - powiedziała, nie patrząc na niego.

- Radik...

Jack obrócił się na bok, by patrzeć na nią. Wyglądała na zdenerwowaną.

- Czy cię skrzywdził?

- Fizycznie nie. Raczej mnie przerażał. - Przełknęła ślinę i nadal wpatrywała się w liście. - Czasami martwiłam się tylko, czy będziemy szczęśliwi. Za bardzo różniliśmy się od siebie. Radik lubi szybkie samochody, całonocne przyjęcia, na których szampan leje się strumieniami. Jego ulubionym miejscem jest Cannes.

- A ty, co lubisz?

- Lubię proste rzeczy - odwróciła się ku niemu z uśmiechem. W policzku zrobił się jej dołeczek.

- Zdefiniuj to pojęcie.

- Och, długie popołudniowe spacery po łąkach, kiedy słońce miękko oświetla wszystko. Lubię hodować kwiaty i piec ciasto.

Jack roześmiał się.

- Powinnaś być żoną farmera. Uśmiech Isabelli przygaśł.

- To, że urodziłam się księżniczką, to przypadek. Niekoniecznie przywilej.

- Mówisz, że wolałabyś nie urodzić się w rodzinie królewskiej? Naprawdę?

Zmarszczyła brwi i westchnęła.

- Wolałabym o tym nie mówić. Zepsuje mi to humor, i nie chciałabym.

- Czyżbyś była nieszczęśliwa?

- Nie w tym sensie, ale... Sama nie wiem. Po śmierci matki ojciec stał się bardziej nieprzystępny i uparty... - Urwała i zrobiła grymas, jakby wstydziła się, że źle wyraża się o królu, ale mówiła dalej. - Ostatnio moje kontakty z ojcem ograniczyły się do pełnienia pewnych funkcji, przyjmowania niektórych gości i wykonywania poleceń.

- Jak poślubienie hrabiego de Monteza?



- Coś w tym rodzaju.
- Wiem coś o twardogłowych ojcach.
- Naprawdę? - Usiadła. - Opowiesz mi? No, śmiało, czemu tylko ja tyle o sobie opowiadam?

Kusiło go, by jej powiedzieć. W końcu była obcą osobą i nie będzie powtarzała tego w towarzystwie. Jednak kiedy już zacznie, powie więcej, niżby chciał. Wszystko.

- Innym razem.
- Czemu jesteś taki skryty? Westchnął.
- Nie mówmy o moim życiu. Ty masz dosyć kłopotów za nas oboje.

Isabella spojrzała na niego z rozczarowaniem i ściągnęła usta. Potem jednak wzruszyła ramionami i spojrzała w dal.

- Masz rację, mówiąc, że pewnie nadawałabym się na żonę farmera. Czasem myślę, że powinnam urodzić się chłopką.

- Albo Cyganką?
- Tak. - Spojrzała mu w oczy. Uśmiechnęła się i znów pojawiły się dołeczki w policzkach.

Na sekundę wstrzymał oddech. Głupio zrobił, wspominając o Cyganach po tym, co wynikło wczoraj z niewinnej dyskusji o Carmen.

- Nawet mam coś wspólnego z Cyganami - powiedziała Isabella.

- W jakim sensie? - spytał ostrożnie.
- Cóż, według mojej niani, w nocy, gdy się urodziłam, do pałacu przyszła Cyganka i wygłosiła proroctwo.
- Dotyczące ciebie?
- Tak. Powiedziała, że księżniczka wyrośnie na piękną kobietę...

- I tu się pomyliła - wtrącił Jack.

Isabella pokazała mu język i cisnęła w niego gałązką.

- To najmniej ciekawy fragment - odparła. - Mówiła też, że księżniczka będzie miała cygańską duszę. Zupełnie o tym zapomniałam aż do chwili, kiedy spytałeś mnie, czy nie jestem Cyganką.

Jack zignorował nagły skurcz w środku.

- Chyba w to nie wierzysz?

- No, nie wiem - szepnęła. - Chyba nie. Prócz tego powiedziała inne ciekawe rzeczy.

- Co mianowicie? - Nie musiał pytać. I tak sama by mu powiedziała. Nagle Jack zaczął żałować, że podjęli ten temat.

Ku jego zdumieniu Isabella zrobiła zakłopotaną minę. Przygryzła wargę i spojrzała na niego niepewnie.

- Powiedziała, że szczęście znajdę jedynie w odległym kraju, gdzie w nocy na niebie widać krzyż.

Kolejny skurcz trzewi. Jack zerwał się na równe nogi. Usłyszał wystarczająco dużo.

- Pewnie wierzysz we wróżby z fusów?

- Uważasz, że to bzdura? - Wstała i spojrzała na niego z wojowniczym uśmiechem.

- Tak, Isabello. To piękna, romantyczna historia, ale to bzdura. - Nie patrząc na nią, ruszył do kajaka. - Zbierajmy się.

Kiedy wreszcie pod koniec długiego dnia dobili do brzegu, natychmiast wzięli kolejną kąpiel. Dryfując na wznak, obserwowali różowe i złote chmurki, a zimna woda przynosiła ulgę ich obolałym mięśniom.

Czekając na kolację, żuli suszone krążki jabłek.

Jack postanowił nie popełnić tego samego błędu, co poprzedniego wieczoru. Jeden pocałunek był błędem w ocenie sytuacji, następny to byłaby głupia katastrofa. Szukał jakiegoś tematu do rozmowy, który nie miałby nic wspólnego z Cyganami...

- Czy wysłałaś jakąś wiadomość do domu po wyjeździe? Isabella obróciła się na brzuch, by móc patrzeć na niego.

Ten zwykły ruch wypadł bardzo wdzięcznie. Zresztą wszystko robiła z gracją. Przez cały dzień siedział za nią i obserwował, jak podczas wiosłowania zgrabnie porusza łopatkami i ramionami. Miły widok.

- Z lotniska w Darwin zadzwoniłam do przyjaciółki - wyjaśniła. - Oczywiście, nie powiedziałam, gdzie jestem. Poprosiłam ją, by powiedziała ojcu, że jestem cała i zdrowa.

Nachmurzyła się, wsunęła ostatni plasterek suszonego jabłka na mały palec i przyglądała mu się.

- Pierwszą rzeczą, jaką zrobię po przyjeździe do Killymoon, będzie telefon do domu.

- Zachowaj ostrożność - odparł Jack. - Twój narzeczony na pewno ma ludzi czekających na taki telefon. Będzie chciał cię wytropić.

- Owszem - westchnęła. - W tej chwili w pałacu na pewno roi się od detektywów. Muszę pomyśleć, do kogo mam zadzwonić spoza pałacu. Może do jednej z pielęgniarek w szpitalu.

Obrócił się na bok i podparł ręką głowę.

- Opowiedz mi o swej pracy w szpitalu. Isabella spojrzała zdziwiona i wzruszyła ramionami.

- Zaczęłam jako nastolatka, bo chciałam kontynuować pracę matki. Naród bardzo ją kochał. Była bardzo zaangażowana w działalność charytatywną, zajmowała się zwłaszcza bezdomnymi i umierającymi. - Uśmiechnęła się w zadumie. - Dla mnie spokojne działanie bez rozgłosu jest cenniejsze od tego całego zgiełku.

- Od bycia postacią publiczną?

- Tak.

- Zaszczytna służba ludziom?

Spojrzała na niego ostro, jakby bała się, że z niej kpi.

- Służenie ludziom jest dla mnie zaszczytem, przywilejem i daje ogromną satysfakcję.

- Co w tym jest najbardziej satysfakcjonujące?

- To, że spędzam czas - odparła bez wahania - z umierającymi, samotnymi ludźmi, przy których nie ma nikogo bliskiego. Zdziwiłbyś się, jak wielu jest bezdomnych nawet w tak maleńkim kraju jak Amoria. Przychodzę tam dla nich, by wiedzieli, że jest przynajmniej jedna osoba, której na nich zależy.

Jack był zaskoczony. Poraziło go, że ta pełna życia, piękna dziewczyna troszczy się o umierających kloszardów.

- To... to jest naprawdę coś.

- Nieważne, kto to jest, każdy zasługuje, by w chwili odejścia otrzymać od innych ciepłe uczucia i szacunek. Oraz miłość.

Jack natychmiast pomyślał o Geri i ból ścisnął mu gardło. W jego oczach pojawiły się łzy. Przesunął ręką po twarzy.

- Przepraszam, Jack - powiedziała szybko Isabella. Spojrzała na niego ze współczuciem. - Pewnie nie chcesz o tym mówić.

- Przeciwnie - nalegał. - To bardzo interesujące. Jak radzisz sobie z zapewnieniem im spokoju i ciepła?

Usiadła i objęła rękami kolana. Przez dłuższą chwilę zastanawiała się, spoglądając w przestrzeń, obserwując lecące czarne i białe ibisy. Potem przechyliła na bok głowę i spojrzała na niego tak czule, że coś ścisnęło go w gardle.

- To zależy od okoliczności - wyjaśniła. - Wiele razy wystarczy zwykła, dyskretna obecność. Trzymanie za rękę. Dotyk może podnosić na duchu. Niektórzy z tych ludzi żyli latami bez kontaktu z drugą osobą.

Ku jego przerażeniu z gardła wyrwał mu się szloch. Nikt w tej ostatniej chwili nie trzymał jego żony za rękę. Nie było żadnego pożegnania. Jej śmierć była jedną wielką niesprawiedliwością.

- Jack?

Słyszał cichy głos Isabelli, ale jej nie widział. Oczy zasły mu łzami.

- Ta rozmowa cię przygnębia - zauważyła.

Zamknął oczy, później zamrugał powiekami. Chciał zapomnieć, ale wspomnienia okazały się silniejsze.

Znów był w tej strasznej izbie położniczej. Geri leżała blada i wyczerpana skomplikowanym porodem. Lekarz o ponurej twarzy przekazywał im straszną wiadomość, że ich córka urodziła się martwa. Potem, zanim jeszcze zdążyli otrząsnąć się z pierwszego szoku, słuchał z przerażeniem, jak personel szpitalny zaczął gorączkowo mówić o zagrożeniu wewnętrznym krwotokiem. W następnej chwili zabrali Geri na salę operacyjną.

Pobiegł za nią, kiedy wieźli ją długim szpitalnym korytarzem. Nigdy nie zapomni, jak jej rude włosy żywo kontrastowały z białą poduszki. Biedna Geri. Była taka wylękniona. Wyciągnęła do niego rękę.

Dotknął jej przelotnie i zaraz potem odjechała tam, dokąd nie mógł za nią podążyć. Zniknęła za wahadłowymi drzwiami sali operacyjnej.

I, dobry Boże, już stamtąd nie wróciła.

- Nie byłem wtedy przy niej - powiedział zbolalym głosem. - Nie było mnie przy Geri.

- Geri? - szepnęła Isabella.

- Moja żona.

- Och, Jack. Tak mi przykro.

Usiadł i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w piasek pod stopami.

- Zmarła przy porodzie. Dziecko również. Isabella załkała.

- Nie byłem przy niej, kiedy umierała. Zabrali ją i nie pozwolili mi tam być. - Cały drżał, próbując opanować

emocje. - Nie wiedziałem, że nie wróci. Nie wierzyłem, że to pożegnanie. Nawet nie powiedziałem jej, że ją kocham.

Nie mógł już dłużej wytrzymać napięcia i rozplakał się. Szlochał gwałtowniej niż kiedykolwiek w ciągu tych trzech lat. Żal, z którym zmagał się tak długo, wreszcie znalazł ujście. Łzy piekły boleśnie.

Nie wiedział, kiedy się przysunęła, lecz czuł jej obecność, jej ręce na drżących ramionach, policzek przytulony do jego karku.

- Jack, biedny Jack - szeptała cicho. Objęła go i przytuliła. Kołysała go delikatnie. A on nie mógł przestać płakać. Nie mógł nic na to poradzić, tylko szlochał i szlochał.

Przez trzy lata starannie pielęgnował żałobę, unikał współczucia, odsuwał od siebie życzliwe osoby. Teraz czuł się tak, jakby Isabella zburzyła mur, którym się otoczył.

Czuł, że ma prawo wtulić się w jej ramiona, przycisnąć do niej głowę i dać się uspokajająco głaskać.

Kiedy wreszcie zdołał opanować emocje, podniósł głowę i wziął głęboki wdech. Wówczas bez słowa wypuściła go z objęć.

Odsunęła się i usiadła obok.

- Nie powinieneś się obwiniać - powiedziała spokojnie. - To straszne, kiedy dochodzi do nagłych przypadków. Wówczas nie można wiele zdziałać. Nie miałeś możliwości się z nią pożegnać.

Wytrzeł twarz rękawem i spojrzał na rzekę, gdzie przewalała się masa wody, uderzając o przybrzeżne skały. Isabella milczała, lecz jej słowa wciąż dźwięczały mu w uszach.

Nie miałeś możliwości się z nią pożegnać.

To było najgorsze. Był tak otumaniony śmiercią dziecka, że kiedy zabrano go, by zobaczyć Geri, po prostu stał, nie wierząc w to, co widzi.

Nie pożegnał się. Ani wtedy, ani w następnych latach.

Przez trzy lata nie pogodził się ze śmiercią Geri. Najpierw pił, potem bez reszty poświęcił się pracy, odcinając się przy tym od przyjaciół i rodziny. Był tak rozżalony, że zamknął się w sobie. Jednak nic nie pomagało. Przez trzy lata żył w odrętwieniu.

Nawet ten tydzień, który zamierzał spędzić w Pelican's End, był kolejną próbą buntu przeciwko śmierci Geri. Chciał odtworzyć w pamięci wspólnie spędzone tu chwile. Może jednak powinien poszukać sposobu, jak się z nią ostatecznie pożegnać?

Pogrążony w tych myślach, nie zauważył nawet, że Isabella wstała i podeszła do ogniska.

- Nasza kolacja jest już chyba gotowa - powiedziała. Zerwał się na nogi.

- Rzeczywiście, już powinna dojść. - Podbiegł do niej i zaczął rozrzucać węgle. - Zauważyłaś to w samą porę, bo inaczej poszlibyśmy spać głodni.

Ryba była idealna, ale Jack pogrążony był w myślach, a Isabella wyczerpana długim dniem na rzece. Zanim skończyła jedzenie, oczy same zaczęły się jej zamykać.

- Czuję, że za chwilę zasnę.

- To marsz do łóżka. - Jack delikatnie cmoknął ją w policzek. - Dobranoc. - Kiedy wstała, dodał: - Dziękuję.

Wiedział, że nie musi jej wyjaśniać, za co dziękuje. Uśmiechnęła się.

- Dobranoc, Jack. - Gdzieś w oddali rozległo się wycie dingo i nerwowo zerknęła w stronę spiworów leżących w pewnym oddaleniu od kręgu światła ogniska. - Nadal nie bawią mnie noce w buszu. Będiesz w pobliżu, prawda?

- Będę tuż obok - odparł. Potrzebuję tylko trochę czasu...

Przyciągnął grubą kłodę do ogniska i usiadł, wpatrując się w hipnotyzującą grę płomieni. Potrzebował samotności. Żeby pomyśleć o Geri...

I przypomnieć sobie ich córeczkę, Annie, kochane maleństwo o rudej czuprynce, której nie dane było zaznać daru życia.

Siedział tak, bez końca wpatrując się w czerwone i pomarańczowe języki ognia. Przywoływał wspomnienia.

Po śmierci Geri życzliwi ludzie usiłowali wyjaśnić mu to, co jego zdaniem było niewytłumaczalne, więc bezceremonialnie ich odpychał. Jednak tego wieczoru kilka słów wypowiedzianych przez Isabellę miało, jego zdaniem, sens... Nie mógł się pożegnać...

Dlatego dziś, pod kopułą milionów gwiazd, śmierć Geri wydawała się łatwiejsza do zaakceptowania. Była to oczywista prawda, tak samo realna jak przepływająca obok rzeka, która zawsze zmierza ku morzu. Życie jest nieodwracalne, podobnie jak rzeka. Nie ma powrotu. Nie zdoła powtórzyć swego życia z Geri.

Wstał ociężale i podrzucił kolejny kawałek drewna do ogniska. Patrzył, jak niebieskie płomyki ogarniają je, stają się coraz większe i bardziej czerwone. Przez trzy ostatnie lata nie tyle żył, co wegetował.

Jeśli czegoś nauczył się po tej tragedii, to tego, że życie jest darem. A co on robi z własnym życiem? Marnuje je?

Odrzucił w tył głowę, westchnął i popatrzył w rozgwieżdżony nieboskłon. Miał o czym rozmyślać.

Isabella obudziła się przed świtem.

Świat był wciąż mroczny i cichy, choć słyszała odgłosy buszu, świergot ptaków, delikatny szum wody obmywającej skały i porykiwanie bydła w oddali.

Nad głową, pomiędzy koronami drzew, niebo zaczęło już blednąć.



Wkrótce wstanie poranek.

Dzisiaj dotrą do Killymoon.

Jack stwierdził, że u Kingsleyów - Lairdów będą w porze lunchu, co oznacza koniec ich wspólnej wędrówki.

Odwróciła głowę, by spojrzeć na leżącego obok niej Jacka. Sącące się przez liście delikatne światło dotarło aż pod baldachim i zarumieniło jego profil. Powodowana impulsem, wparła się na łokciu, by móc go lepiej widzieć.

Teraz dopiero mogła uważnie przyjrzeć się jego pięknym kędzierzawym włosom, gęstym brwiom, długim rzęsom, szlachetnemu kształtowi nosa oraz zagłębieniu biegnącemu od nosa do warg.

Jego wargi!

Przeszył ją dreszcz. Ubiegłej nocy te wargi wpiły się w jej usta. Przeniosły ją w świat doznań zmysłowych, o jakich nie marzyła w najskrytszych snach. Był to świat namiętności i uległości.

Gotowa była ulec. Gdyby Jack nie przestał jej całować... Ona, królewska córka, omal nie kochała się z mężczyzną, którego nazwiska nie знаła.

Nawet teraz, po tym wszystkim, co opowiedział jej o swojej żonie, myśl o kochaniu się z nim rozpałała jej krew w żyłach. Nie umiała przestać o tym myśleć.

Żaden mężczyzna nie potrafił tak jej rozbudzić. Nigdy. Na pewno nie Radik, o którym myślała, że go kocha wystarczająco, by za niego wyjść za mąż.

Może zamienia się w Carmen. Tu, w buszu, gdzie nie miała nic, prócz ubrania na sobie, gdzie kąpała się w skalnych jeziorkach, używając korzeni akacji zamiast mydła, gdzie nie dbała o włosy i opaliła jasną cerę, czuła, że zrzuca z siebie wszelkie ograniczenia.

Zapomniała o księżniczce Isabelli?

Boże, jak bardzo się zmieniła. Poczwała nagłą i nieodpartą ochotę, by dotknąć Jacka. Wyobrażała sobie ciepło rozgrzanej snem skóry, tajemniczą szorstkość nieogolonych policzków, drzemającą siłę ramion, dotyk zarostu na nagim torsie... A co z resztą jego ciała?

Fala tęsknoty przewaliła się przez nią, wstrzymując jej dech, wywołując drżenie. Na zewnątrz opadała zasłona nocy. Wkrótce będzie ranek. Jack obudzi się i wyskoczy z legowiska. Zabierze się do zwijania obozu.

Tylko że ona chciała, by pozostał obok niej...

Co zrobiłaby Carmen, gdyby pragnęła mężczyzny? Gdyby chciała, żeby raz jeszcze ją przytulił?

Czy pocałunek go obudzi?

Isabella przysunęła się bliżej.

We śnie wyglądał chłopięco. Wargi miał miękkie, rozluźnione. Tamtej nocy były ogniste i zaborcze. Czy zdoła znów je ożywić? Czy się odważy?

Nie będzie na nią zły? Wystarczy lekko pochylić głowę. Zaczęła oddychać szybciej, płycej, a serce waliło jej jak oszalałe, kiedy pochyliła twarz... Włosami musnęła jego policzek. Natychmiast otworzył oczy.

- Isabella. - W okamgnieniu złapał ją za ramię i przytrzymał o centymetr nad sobą.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry. - Niebieskie oczy patrzyły na nią z niepokojem.

- E... sprawdzałam tylko, czy nie śpisz.

Zerknął nad jej ramieniem w budzący się świt i badawczo uniósł brwi.

- Tak wcześnie? Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Jestem jakaś niespokojna.

- Niespokojna?

- Tak, bardzo.

Jack zerknął ponownie na zewnątrz i Isabelli zrobiło się przykro. Z każdą chwilą będzie coraz bardziej opanowany i rzeczowy. Odsunie ją na bok z równą łatwością, jak robił to z konarami blokującymi przejście, i zerwie się, by rozpaść ognisko i przygotować śniadanie.

Wzięła głęboki wdech.

- To jest niepokój Carmen. Wzrok Jacka stał się bardziej czujny.

Przez długą chwilę trzymał ją tuż nad sobą. Krtań poruszała mu się niespokojnie, gdy wpatrywał się w nią, pragnąc dobrze zrozumieć, o co jej chodzi.

Potem spojrzenie stopniowo złagodniało. Uśmiechnął się kącikiem ust.

- Czy to mnie wabisz, Carmen?

- Wabić? - Nie знаła tego określenia, ale była pewna, że wie, co miał na myśli.

W jego oczach zapłonął błysk pożądania.

- Wiesz, co się stanie, jeśli znów zaczniemy się całować?

- Hm. - Nerwowo przełknęła ślinę. - Tak. Chyba tak.

- Czy Wasza Wysokość nie powinna być jednak bardziej ostrożna?

- Nie! Nie, Jack. - Jej niecierpliwość była żenująca, ale aż drżała, pragnąc jego pocałunków i dotyku.

- Nie? Pokręciła głową.

Oczy płonęły mu, kiedy obserwował falowanie jej włosów. Wciąż trzymał ją nad sobą, a jednocześnie wzrokiem powoli wędrował coraz niżej i niżej.

- Chodź tu - szepnął, pociągając ją na siebie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

W sposób wyrafinowany i powoli pieścił jej ciało. Pocałował jej dolną wargę, przytrzymał zębami i zaczął ssać. Ruch jego ust i jedwabisty dotyk palców sprawiły, że przeszył ją słodki dreszcz. Zamknęła oczy.

- Jesteś niesamowitą kobietą - wyszeptał, głaszcząc jej szyję poniżej ucha. - Nie wiadomo, czego można się po tobie spodziewać.

- Za to ja doskonale wiem, czego oczekuję od ciebie - odparła zuchwale.

- Tak? Czego?

- Doskonałości.

Roześmiał się i odgarnął kosmyk jej włosów za ucho, potem przesunął językiem wzdłuż policzka. Kolejna fala przyjemności.

- To wysokie oczekiwania.

Wiedziała, że w głębi duszy był zadowolony.

Ich usta złączyły się znowu w gorącym i długim pocałunku, podczas gdy jego ręce przesunęły się na jej biodra i dalej do rąbka podkoszulka. Przez chwilę miał w palcach cienką bawełnę, potem wsunął ręce pod spód i kreślił zmysłowe kółka na pośladkach Isabelli.

Przestała o czymkolwiek myśleć. Już samo to dotknięcie było dla niej niesamowite. Co się stanie, jeśli Jack posunie się dalej?

Przez chwilę ogarnął ją strach.

Potem jednak ustąpił. Działo się coś, o czym marzyła od chwili, kiedy spotkała Jacka. Jeśli wyczuje jej obawy, być może odkryje jej sekret, a nie mogła pozwolić, by się teraz wycofał. Sama to sprowokowała. Musi myśleć i zachowywać się jak Carmen.

Licząc na to, że nie zauważy, jak drżą jej ręce, uniosła się i zdjęła podkoszulek.

- O, mój...

Jack wstrzymał dech i stracił nadzieję, że przypomni Isabelli, że ich zabawa staje się niebezpieczna. Nawet nie mógł powiedzieć, jak bardzo jest cudowna.

Pierwsze promienie poranka przedostały się przez liście i baldachim, nadając skórze dziewczyny odcień brzoskwini. Chciał jej wyszeptać, że ma idealną figurę, piękne, zakończone różowymi sutkami piersi i harmonijne przejście między talią a biodrami. Jednak gardło miał tak ściśnięte, że nie mógł wydusić z siebie ani słowa

Miał tylko nadzieję, że usta, ręce i całe ciało powiedzą to za niego.

Tylko spokojnie, upomniął się. Bez pośpiechu.

Prymitywny namiot stał się ich światem.

Dwa rozgrzane ciała zawierały słodkie i czułe przymierze. Ich uda splątały się. Objął dłońmi jej piersi, a ona rozplynęła się w rozkoszy.

Głośno dawała wyraz przeżywanej rozkoszy. Pod wpływem pieszczotliwych dotknięć rąk i ust jej skóra stawała się coraz gorętsza i bardziej uwrażliwiona. Był taki cudowny, całował każdy fragment jej ciała, które domagało się jego miłości.

Czemu odkrycie, że kochanie się może być czymś tak nieprawdopodobnie pięknym, zajęło jej dwadzieścia pięć lat?

Rozwiały się resztki obaw. Zamiast tego wewnątrz niej zaczęła narastać muzyka. Wielka, potężna. Namiętna, ogarniająca ją całą.

Z oddali dobiegł ją głos Jacka, który szeptał, jak jest piękna i pełna namiętności. Ale to on ją odmienił. Zrobił z niej zmysłową, pełną żaru kobietę.

A potem upadła. Było to wspaniałe, poruszające.

- Jack. Och, Jack.

Serce waliło mu jak młot, kiedy wciąż powtarzała jego imię. Gdy przywarła do niego, pocałowała i ocierała się miękkim policzkiem o jego zarost.

Wtedy przestał nad sobą panować. Ta kobieta, która na nowo rozpałała w nim krew, doprowadziła go do punktu, z którego nie mógł już zawrócić. Czyste pożądanie przeszło go na wskroś, kiedy umieszczał pod sobą jej smukłe uda.

Uśmiechnęła się do niego, w jej ciemnych oczach widział namiętność. Przez ułamek sekundy zdawało mu się, że był tam również strach, ale znów wyszeptała jego imię, oplatając go ramionami i jedwabście gładkimi nogami. Wówczas zapomniał o wszystkim i zanurzył się w jej słodkie, kuszące ciało.

Tuż przed samym południem kajak minął ostry zakręt rzeki.

- To już Killymoon - powiedział.

Isabella poczuła niespodziewany ucisk w żołądku, kiedy patrzyła na coś, co wyglądało jak złudzenie. Z szarozielonego buszu wyłonił się idealnie wypielegnowany trawnik. Szmaragdowozielona trawa niczym dywan ścieliła się łagodnym łukiem od brzegu aż na szczyt pagórka. Stał tam długi, niski dom ocieniony wysokimi drzewami.

- Proszę bardzo, sielski obrazek w stylu rustykalnym - skomentował sucho Jack.

Przymrużyła oczy pod szerokim rondem kapelusza, usiłując dostrzec szczegóły. Dom wydawał się za duży, jak na typową farmę. Od frontu miał coś na kształt zadaszanej werandy wspartej na smukłych, białych kolumnach. Wyobraziła sobie przeszklone drzwi z wieloma szybkami, granatowe okiennice, wielkie wazony pełne purpurowych i białych kwiatów.

Po dniach spędzonych w głuszy widok klasycznej budowli wywoływał szok.

Tutaj na pewno znajdzie gorącą wodę, szampon, wygodne łóżko z czystą pościelą, mleko, świeże owoce i kawę.

- To jest cudowne - powiedziała, odwracając się do Jacka, ale na widok jego grobowej miny zamarło jej serce.

Przez cały ranek był nienaturalnie milczący i powściągliwy. Nawet po...

O co ci chodzi, Jack? Nie mogła wyartykułować tego pytania, ale wciąż o tym myślała.

- Zatrzymajmy się na chwilę - powiedział i natychmiast skierował kajak do brzegu.

Podpłynęli do plaży w miejscu, gdzie przed widokiem z domu kryła ich gęsta roślinność. Jack przycumował, zarzucając linę na złamany konar, i wyskoczył na brzeg. Podał jej rękę i kiedy kajak kołysał się łagodnie na płytczynie, wyszła na ląd.

Zadrżała i próbowała otrząsnąć się z ogarniającego ją uczucia przygnębienia. Jak smutek mógł tak szybko zastąpić nieprawdopodobne szczęście, którego zaznała w ramionach Jacka?

Rozpalił w niej zdumiewający ogień. Mogła jedynie myśleć o tym, jak bardzo go pożąda, i nie znajdowała w tym niczego złego. Kochanie go to jak obejmowanie i dotykane najczystszej prawdy.

Dlatego kiepski nastrój nie miał najmniejszego sensu. Czy był wynikiem goryczy w jego spojrzeniu?

- O co chodzi, Jack? W czym problem? Wbił wzrok w ziemię.

- Mogę cię doprowadzić tylko dotąd. Czas się pożegnać. Czują, jak piaszczysty brzeg ugina się pod nią.

- Ale wejdiesz ze mną, prawda? Nie chcesz porozmawiać z Kingsleyami - Lairdami?

- Nie

Nie? Już zamierzał ją opuścić?

- Czemu?

Zacisnął zęby i, unikając jej wzroku, spojrzął na rzekę.

- Mam powody, o których nie chcę mówić. Nie pytaj mnie o nie, Isabello.

O Boże. Czemu o tym nie pomyślała? Nigdy na ten temat nie rozmawiali, ale założyła, że Jack z nią zostanie. Jakoś tak wmawiała sobie, że jej bohater zostanie przy niej do samego końca. Co za głupota. To zdarza się tylko w Hollywood, ale nie w życiu.

Obudź się w rzeczywistym świecie, Isabello.

- Nie zmuszałam cię, żebyś mówił mi cokolwiek o sobie, Jack. Teraz chyba już na to za późno.

- Chyba tak. - Westchnął głośno i wreszcie spojrzął jej o oczy. - Zaufaj mi, kiedy mówię, że tak będzie najlepiej. Poczekam tu, żeby upewnić się, że wszystko w porządku. Jeżeli nie wrócisz w ciągu pół godziny, uznam, że tak jest. Wówczas popłynę w górę rzeki.

Przeszył ją dotkliwy ból. Nie ujrzy więcej Jacka? Niemożliwe, żeby to był już koniec.

- Z powrotem do Pelican's End, to długa droga. Będziesz płynął pod prąd.

- Nie martw się o mnie. Będzie dobrze.

Wcale nie, Jack. Nie potrafiła udawać" obojętnej wobec jego oczywistej ucieczki.

Zdjęła jego kapelusz z głowy i umieściła go na pniu, do którego przycumował kajak. Wyswobodzone włosy opadły jej na ramiona. Jack wzdrygnął się. Jego niebieskie oczy pociemniały.

- Nie spodziewałam się, że tak szybko się pożegnamy - powiedziała.

- Wcześniej czy później. - Wzruszył ramionami. - To nie robi różnicy.



- Nie wiem, jak mam ci dziękować, a tym bardziej, jak się z tobą pożegnać.

Uśmiechnął się z wysiłkiem.

- To kwestia jednego słowa.

- Jak możesz być tak ironiczny?

- Bo nie ma powodu być poważnym. Przynajmniej, jeśli chodzi o nas.

Zrobiło jej się słabo, zachwiała się i omal nie wpadła do rzeki. Jack podtrzymał ją. Wciągnęła gwałtownie powietrze, kiedy jej dotknął.

Przez chwilę tak trwali na brzegu. Trzymał ją za ramię.

- Isabello, czemu mi nie powiedziałaś?

- O czym miałabym ci mówić?

- Przecież wiesz.

Owszem, wiedziała. Poczowała się jeszcze gorzej. Otworzyła usta, ale nie mogła nic powiedzieć.

- Mówię o poranku. Nie sądzisz, że powinnaś uprzedzić mnie, że jesteś dziewicą?

Dotknęła palcami szyi. Był na nią zły. Gniewał się, odkąd.. Rzuciła mu rozpaczliwe spojrzenie, potem jednak odwróciła się.

Ale Jack znów ją przytrzymał.

- To proste pytanie. Czemu mi nie powiedziałaś?

Bo cię pragnęłam, Jack. Bo myślę, że cię kocham i nigdy nie będę cię miała. Wątpię, czy kiedykolwiek będę czuła coś takiego do innego mężczyzny.

Zapadała się wewnątrz.

Umarłaby, gdyby nie wpajana jej od lat dyscyplina. Zebrała całą godność, wyprostowała się i podniosła głowę.

- Bałam się, że nie chciałbyś mnie, gdybyś wiedział. Jack westchnął i potarł czoło.

- A niech to, Isabello, dziewictwa księżniczki nie traktuje się lekko. Nie powinnaś dawać go przypadkowemu człowiekowi. Komuś, kogo ledwo co znasz.

Och, Jack. Pochyliła głowę, żeby nie widział łez.

- Nie oddałam się lekko - odparła łamiącym się głosem. Westchnął głośno.

- Może źle się wyraziłem. - Zrobił krok w jej stronę. - Przykro mi, Isabello.

- A mnie wcale nie, Jack. - Tym razem odwróciła się do niego, nie dbając o to, że ocierała łzy. - Mam dwadzieścia pięć lat i nie uważam, że poniosłam jakąś stratę. Pragnęłam cię, Jack. Domagałam się takich samych praw, jakie ma każda kobieta. To była moja decyzja.

Przyciągnął ją i przytulił. Przywarł ciepłymi ustami do mokrego policzka, potem odgarnął włosy, by pocałować ją w szyję.

- Jesteś wyjątkową kobietą - szepnął. - Chcę, byś zrozumiała, że to, co się stało, nie zaprowadzi nas donikąd. Wiesz o tym, prawda? Należymy do różnych światów.

Nic nie mogła na to poradzić. Jego dotyk spowodował, że zadrżała. Pragnęła go aż do bólu. Objęła go za szyję i pocałowała w usta. Równie rozpaczliwie odwzajemnił pocałunek. Smakował słońcem i słonymi łzami Isabelli.

Przytulił ją mocniej, aż straciła dech, potem szybko oderwał od niej usta.

- Powiedz mi, że rozumiesz, Isabello.

- Wiem na pewno jedynie to, że nigdy nie będę czuła do żadnego mężczyzny tego, co do ciebie.

- Och, Boże. Przejdzie ci. - Zaskoczyło go to. - Wrócisz do świata, do którego należysz, rozwiążesz bieżące problemy i wygonisz swego narzeczonego. A potem znajdzie się jakiś wspaniały książe, który przybiegnie jak na skrzydłach.

- To bajki, Jack.

- Nie! - krzyknął, rozkładając szeroko ręce, pokazując na rzekę, kajak, busz. - To jest bajka. Przekonasz się, gdy wrócisz do domu. Do prawdziwego świata. - Uścisnął ją pocieszająco. - Najważniejsze jest twoje bezpieczeństwo. Bądź ostrożna. Upewnij się, że John Kingsley - Laird rozumie powagę sytuacji i to, że musisz ukrywać się do soboty.

Przekonanie w jego głosie i rzeczowe rady odebrały jej resztkę nadziei. Jack mówił poważnie. Ich wspólny czas dobiegł końca. Prócz rozpaczy, poczuła rezygnację. Koniec.

Otarła twarz rękawem i głęboko westchnęła.

- Idź już. - Popchnął ją delikatnie. Gdy obejrzała się w prawo przez ramię, zobaczyła wąską ścieżkę przez zarośla. Potem odwróciła się do Jacka i obojętność w jego wzroku omal nie złamała jej serca.

Spróbowała się uśmiechnąć.

- Powodzenia. - Skinął ponuro głową.

Niemal pewna, że jej serce pęknie, powoli zaczęła oddalać się od niego.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Pies podbiegł do Isabelli, kiedy zmierzała trawnikiem przed front domostwa w Killymoon. Młody złoty labrador jak szalony wymachiwał ogonem, obwąchał jej nogi, potem krążył wokół niej, podskakując z podniecenia.

- Cześć, mały. - Poklepała go i dalej biegł obok niej, kiedy szła w stronę domu. Gdy zbliżyła się, z domu wyszła kobieta i stanęła na szczycie szerokich, kamiennych schodów. Osłoniła dłonią oczy i przyglądała się nadchodzącej Isabelli.

Kobieta stojąca na tle pięknego domu, ubrana w nieskazitelnie białe spodnie i koszulę w biało - niebieskie paski, wyglądała jak kwintesencja wiejskiego uroku. Proste siwe włosy, zebrane czarną aksamitną opaską, odsłaniały twarz o klasycznych rysach. W ręku trzymała płaski koszyczek i sekator, najpewniej chciała popracować w ogrodzie.

- Buster, chodź tu, piesku - zawołała, przyglądając się nieznajomej.

- Witaj, Elizabeth - powiedziała Isabella, wchodząc na najniższy stopień.

Elizabeth Kingsley - Laird otworzyła usta ze zdziwienia.

- Nie, to niemożliwe...

- Obawiam się, że jednak tak.

- Księżniczka Isabella?

Isabella weszła na schody i odrzuciła gęste, ciemne włosy z twarzy.

- Nie dziwię się, że miałaś trudności z rozpoznaniem mnie. Wybacz, że przybywam niezapowiedziana.

- Moja droga, na miłość boską, nie przepraszaj! - zawołała Elizabeth. - Po prostu jestem zdumiona. Wielkie nieba! Masz wyjść za mąż w sobotę. Pakowaliśmy się, by polecieć na twój ślub. - Z niepokojem zerknęła w stronę rzeki. - Skąd się tu wzięłaś?

Isabella opowiedziała jej pokrótce o stracie samochodu w wezbranej rzece.

- Mój Boże. Pelican's End jest tak daleko. Jak zdołałaś się tu dostać?

- Kajakiem.

- Kajakiem? - Elizabeth zatkało.

- To długa historia.

- W to nie wątpię. - Pospiesznie odstawiła koszyk i wyciągnęła ręce do Isabelli. - Biedna dziewczyno. Nie mogę trzymać cię na tym upale. Wejdz do środka. John wyjechał z weterynarzem w sprawach hodowli, ale wieczorem wróci do domu. Co za niespodzianka go czeka!

Bawialnia w Killymoon przypominała prywatne pokoje w pałacu Valdenza. Pomalowane na jasnożółty kolor ściany, obszerne sofy, wazony pełne kwiatów i podłogi pokryte starymi dywanami tworzyły atmosferę wyszukanej elegancji, wygody i przytulności.

Lecz gdy Isabella przyglądała się pięknym obrazom na ścianach, serwantkom pełnym starej porcelany i stojącym na stoliku przy oknie fotografiom w srebrnych ramkach, poczuła się dziwnie nieswojo w tym komfortowym otoczeniu.

Zerknęła na połamane paznokcie, podrapane nogi, brudne buty, wygniecione ubranie i uśmiechnęła się smutno. Miała wrażenie, jakby spędziła nad rzeką i w buszu nie kilka dni, a kilka miesięcy.

- Pozwól, niech zgadnę - powiedziała Elizabeth. - Filizanka kawy lub herbaty, a potem długa kąpiel z bąbelkami?

- Brzmi niebiańsko.

- A później mi wszystko opowiesz.

Jack wiosłował jak szalony, żywiąc nadzieję, że wysiłek fizyczny, związany z poruszaniem się pod wartki prąd, pomoże mu zapomnieć o Isabelli.

Płonne nadzieje. Z każdym pociągnięciem wiosła, kiedy oddalał się od niej, paradoksalnie w myślach była mu coraz bliższa.

Nie mógł zapomnieć łez w jej pięknych ciemnych oczach. Lśniły jak godło odwagi, gdy się z nim zegnała. To jego wina. Miała wystarczająco dużo kłopotów, gdy musiała uciekać przed zdradzieckim narzeczoną, a on przysporzył jej jeszcze bólu.

Przeklinał swoją słabość. Powinien był się jej oprzeć. Ale trzy lata ciężkiej pracy i samotności osłabiły jego wolę. Stał się bardziej podatny na wdzięki pięknej kobiety.

Ale czemu właśnie ta? Boże, zrobił to z księżniczką!

Isabella zaufała mu, miał być jej rycerzem, a tymczasem zawiódł jej zaufanie. Fakt, że oddała mu się z taką namiętnością, nie poprawiał mu samopoczucia.

To szaleństwo. Ostatnia rzecz, jaka powinna przytrafić mu się w tym tygodniu, to uprawianie seksu z piękną i pociągającą nieznaną. Tylko że była ona tak cudowna, ciepła i chętna, że na samo wspomnienie coś ścisnęło go za gardło.

Musiał odstawić ją do Killymoon, ale kiedy oddalała się od niego w zmiętej białej koszuli, na której rozsypały się czarne, gęste włosy, wyglądała tak zjawiskowo. Omal nie zawołał: „Carmen!”.

Kiedy odeszła, z każdą minutą niepokoił się coraz bardziej. Wszystkie logiczne przesłanki, że będzie teraz bezpieczna, nagle wydały mu się głupie.

Zaufała mu i wierzyła, że zostanie przy niej, aż minie niebezpieczeństwo.

A on ją zawiódł.

I stracił spokój ducha.

W tym sęk, pomyślał ponuro. Isabella znaczyła dla niego więcej, niż śmiał przyznać. Kiedy szła ścieżką w stronę domu,

pomyślał, że traci może jedyną szansę na odbudowanie swojego życia.

To było całkiem szalone.

Jak mógłby dzielić los z europejską księżniczką?

Kto tu wierzył w baśnie?

Jak by na to nie spojrzeć, sytuacja była fatalna. Mógł jedynie wiosłować. To jednak nie pomagało.

Było już dobrze po południu, kiedy Isabella zobaczyła fotografię. Siedziały z Elizabeth w bawialni, gdzie skończyły rozmawiać o zdradzieckim Radiku, gdy zwróciła uwagę na zbiór fotografii stojących na stoliku obok.

- Muszę dokładniej przyjrzeć się twojej rodzinie - rzekła świadoma, że już zbyt długo mówi o sobie.

- Oczywiście - zgodziła się Elizabeth.

Srebrne ramki okalały stare portrety w kolorze sepii, przedstawiające szlachetnie wyglądających przodków z epoki wiktoriańskiej. Były tam również nowsze zdjęcia ze ślubów, z wakacji i podobizny dzieci, a między nimi stała fotografia wysokiego, bardzo przystojnego młodzieńca o niebieskich oczach.

Isabella poczuła, że jej serce zamarło. Jakby osunęła się ze skały. Nie było najmniejszych wątpliwości. Tę twarz miała wyrytą w sercu.

- Mój Boże, to Jack!

Elizabeth zrobiła wielkie oczy.

- Znasz mojego syna? - spytała przez zaciśnięte gardło.

- Twojego syna?

- Tak. - Elizabeth wstała i podeszła do niej. - To jest John Junior. Zawsze nazywaliśmy go Jack.

Isabella pokonała pierwszy szok i zerknęła ku rzece. Co ma powiedzieć? Za późno udawać, że nie zna Jacka, ale czemu, u licha, nie powiedział jej, że jest synem Kingsleyów - Lairdów?

- Spotkałam go w Pelican's End. Jack był tym mężczyzną, który pomógł mi dopłynąć tu kajakiem.

- Nasz Jack jest tu? - Elizabeth, ku zdumieniu Isabelli, natychmiast podbiegła do drzwi i spojrzała w stronę rzeki. - Jest tu jeszcze?

- Nie sądzę. Powiedział, że zaczeka tylko pół godziny, by upewnić się, że ze mną wszystko w porządku.

Elizabeth była bliska płaczu.

- Czemu mi nie powiedziałaś? Pół godziny! Porozmawiałabym z nim, gdybym wiedziała. Och! - Zacisnęła usta.

- Przepraszam, Elizabeth. Nie wiedziałam, że Jack jest twoim synem. Nie podał mi nazwiska.

Powiedział, że nie jest tu mile widziany.

Gospodyni osunęła się na najbliższe krzesło i zakryła twarz drżącymi dłońmi. Isabelli zrobiło się przykro. Usiadła obok.

- Prawdopodobnie zawdzięczam Jackowi życie. Strach pomyśleć, co by się ze mną stało, gdybym go nie spotkała. - Zadrżała.

Elizabeth opuściła ręce. Oczy, niebieskie jak u Jacka, były zaczerwienione. I smutne.

- Jak miewa się mój chłopiec?

- Jest silny i zdrowy - zapewniła ją Isabella. A potem, chcąc zmniejszyć ból matki Jacka, dodała: - Był dobry dla mnie. - O Boże, zważywszy na to, co stało się rano, zabrzmiało to niezręcznie. - Miałam na myśli, że jest dobrym człowiekiem.

Kiedy mówiła o Jacku jego matce, żal ścisnął jej serce żelazną obręczą.

- Pewnie uważasz, że jesteśmy dziwną rodziną - odezwała się Elizabeth. - Masz rację. Mamy jedynego syna, poza



którym nie widzieliśmy świata. Ale nie rozmawiamy z nim od pięciu lat.

- Co się stało? - Isabella zbyt późno zorientowała się, że to nietaktowne pytanie. Ulżyło jej za to, kiedy zauważyła, że Elizabeth najwyraźniej nie domyśla się, jakie uczucia żywi do jej syna.

W przeciwieństwie do Jacka, Elizabeth miała ochotę mówić o sprawach rodzinnych.

- Jack bardzo pokłócił się z ojcem - zaczęła. - Mój mąż ma bardzo określone, rzekłabym wręcz staroświeckie, poglądy na rolę żony i pozwolił sobie na uszczypliwe, nieprzemyślane komentarze na temat Geraldine.

- Chodzi o Geri? Żonę Jacka?

- Tak. John uznał ją za zbyt niekonwencjonalną. Chciał innej żony dla Jacka - kogoś, kto byłby szczęśliwy, pomagając mu w karierze. Kogoś takiego jak ja. Wiesz, dziewczynę, która zadba o ważne towarzyskie spotkania, ale sama zostanie w cieniu. Niestety, dał Jackowi dobitnie do zrozumienia, że to niedobrany związek. - Zerknęła na Isabellę. - Jack mówił ci o Geri?

- Tylko tyle, że umarła.

- Tak, biedna. Obawiam się, że jej śmierć przekreśliła szansę na pogodzenie się ojca i syna. - Westchnęła głęboko.

- Rozumiem, że Jack nie tolerował krytyki ze strony ojca.

- Oczywiście. Podejrzewam, że poślubił Geri, żeby zrobić mu na przekór. - Po przerwie ciągnęła dalej. - Obaj mają charakter przywódcy i żaden nie ustąpi. Jack po ślubie zerwał z nami wszelkie kontakty, a gdy umarła Geri, zupełnie zamknął się w sobie.

Elizabeth przetarła oczy haftowaną chusteczką.

- W końcu Jack założył własną firmę hodowlaną i od prawie trzech lat konkuruje z ojcem. - Uśmiechnęła się. - Nieźle mu to wychodzi.

- Jestem pewna, że tęskni za tobą. Elizabeth zamyśliła się.  
- Nie dziwię się, że wrócił do Pelican's End. To zawsze było jego ulubione miejsce, od dzieciństwa. - Oczy jej pojaśniały i rzekła stanowczo: - Poczekam dzień czy dwa, aż woda opadnie, i pojadę do niego z wizytą.

Koło południa następnego dnia Jack usłyszał warkot śmigłowca lecącego nisko wzdłuż rzeki.

Przestał wiosłować i przymrużonymi oczyma obserwował zbliżającą się maszynę. Pilot widocznie chciał wylądować na brzegu, bo obniżył lot. I wtedy Jack ujrzał widniejący na kadłubie emblemat.

Poczuł ucisk w żołądku. To zwiastowało kłopoty. Śmigłowiec znalazł się jeszcze bliżej i wówczas rozpoznał pilota. To był jego ojciec. Cholera! Same kłopoty.

Tylko coś naprawdę poważnego przywiodłoby Johna Kingsleya - Lairda na spotkanie z synem. Czyżby chodziło o Isabellę?

W każdej innej sytuacji Jack wolałby się zmierzyć z krokodylem ludojadem, niż nawiązać stosunki z ojcem, ale teraz powiosłował wściekle do brzegu, wspiał się na skarpe i dobiegł do śmigłowca, kiedy rotor przestał wirować. Drzwi kabiny otworzyły się.

- Co tu robisz? - zawołał.

Ojciec nie odpowiedział. Żwawo, jak na pana pod siedemdziesiątkę, wysiadł ze śmigłowca i stanął w postawie obronnej. Ogorzała twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Dzień dobry, Jack. Jack zignorował powitanie.

- Co tu robisz? - powtórzył z niepokojem. - Co się stało? Co z Isabellą?

John Kingsley - Laird wzruszył ramionami.

- Usłyszałem, że jesteś tutaj. Pomyślałem, że najwyższy czas, by porozmawiać.

Jack uwierzył mu na chwilę, ale zobaczył znajomy błysk w oczach ojca. Porozmawiać? Proszę bardzo.

- Dzień dobry, ojcie - odparł z przesadną grzecznością. Odczekał chwilę i dodał: - Powiedz mi, co się stało. Z Isabellą wszystko w porządku?

John zacisnął zęby, włożył ręce do kieszeni.

- Spodziewam się, że wszystko w porządku.

- Spodziewasz się? - krzyknął Jack. - Co to, do cholery, na znaczyć?

- Spodziewam się dobrych wieści.

- Nie chrzań, ojcie. O czym, do cholery, mówisz? Starszy pan poruszył się niespokojnie i skrzyżował ręce na piersi.

- Isabellą była bardzo szczęśliwa wczoraj wieczorem. Ale kiedy twoja matka i ja chcieliśmy ją dziś obudzić, nie było jej w pokoju ani nigdzie.

- Wyjechała?

John zawahał się.

- Nad ranem słyszeliśmy przelatujący śmigłowiec. Nie zwróciliśmy na to uwagi. Myśleliśmy, że to przylecieli kontraktowi pracownicy. Teraz jednak zastanawiamy się, czy nie byli to ludzie z Amorii.

Jack jęknął i uderzył pięścią w drugą dłoń.

- Ostrzegałem Isabelle, żeby uważała. Miała nie rozmawiać z nikim z pałacu, aż minie termin ślubu. Ale musiała jednak komuś powiedzieć, bo jak inaczej by się dowiedzieli, gdzie jest?

John posiniał na twarzy. Jack sapnął niecierpliwie.

- O co chodzi? Czy czegoś mi nie powiedziałaś?

- Próbowałem w nocy zadzwonić do króla.

- Co? - Jack zacisnął pięści. Musi się pohamować, bo inaczej udusi starego. Teraz nie może stracić głowy.

- Na Boga, Jack, musiałem. Zostaliśmy zaproszeni na ślub. Zarezerwowaliśmy na dziś lot z Darwin, Nie mogłem po kryjomu trzymać pod dachem córki króla Alberta!

- I co powiedział? - spytał cicho Jack.

- W tym sęk. Nie mogłem się do niego dodzwonić. Kiedy tylko wspomniałem, że chodzi o Isabellę, po drugiej stronie linii zrobiło się zamieszanie. Połączyli mnie z kimś z ochrony. Zaczaj mnie wypytywać, ale rozłączyłem się.

- Czy Isabella nie uprzedziła cię, że jej narzeczony będzie podsłuchiwał wszystkie linie? Pewnie już i tak szukali jej w Australii. Potrzebowali tylko dokładnej lokalizacji. A ty podałeś im ją na tacy.

John zerknął na niego.

- Możliwe, ale co się stało, to się nie odstanie.

- Byłem głupi. Powinienem potraktować jej obawy bardziej serio. - Jack spojrzał z wyrzutem na ojca. - Mogłem domyślać się, że weźmiesz sprawę w swoje ręce.

- Przyjechałem tu - rzekł John - bo domyślam się, że będziesz chciał jej pomóc, synu.

Syn. To jedno słowo, które padło z ust ojca, ujęło Jacka. Ze spuszczoną głową i rękoma w kieszeniach kopnął kępkę suchej trawy.

- Dzięki, tato. - Zerknął ukradkiem na ojca i dostrzegł ze zdumieniem, że starszy pan walczy z emocjami równie silnie, jak on.

- Pomyślałem, że chciałbyś wyjaśnić to do końca - rzekł ponuro John. - Zawsze byłeś...

- Uparty? Jak ty?

John uśmiechnął się pod nosem.

- Chciałem powiedzieć, że masz silne poczucie obowiązku. Szybko przejmujesz na siebie odpowiedzialność.

Jack nie potrafił oprzeć się pokusie polemiki.

- Co to? Krótka entuzjastyczna charakterystyka po tych wszystkich latach?

- Może. Myśl sobie, co chcesz. Ale ja cię znam, synu, i wiem, że postąpisz słusznie, nawet jeśli musiałbyś jechać za tą dziewczyną na koniec świata.

Jack powoli wypuścił powietrze.

- Tak, muszę jechać.

- Będziesz ostrożny, prawda, Jack? Uważaj, nie wiesz, co się za tym kryje. - John wyjął z kieszeni ozdobną kopertę. - To zaproszenie na ślub. Może się przydać. Zwłaszcza że tak samo się nazywamy.

- Tak... Dzięki. - Jack wziął kopertę lewą ręką, prawą podał ojcu.

Uścisnęli sobie dłonie, spojrzeli w oczy. Jack wyczuł, że kończy się pięć lat wzajemnych animozji. Podobne odczucia wyczytał we wzroku ojca.

- Bądź ostrożny - powtórzył John.

- Nie martw się, będę na siebie uważał.

- Wygląda na to, że masz do czynienia z niebezpiecznymi ludźmi.

Jack zmarszczył brwi.

- Czy o czymś jeszcze mi nie powiedziałaś?

- Obawiam się, że my... to znaczy twoja matka znalazła pod oknem Isabelli strzykawkę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Dzień dobry, Wasza Wysokość. To wspaniałe, że wygląda pani dziś znacznie lepiej.

Isabella zamrugła, gdy jej pokojówka rozsunęła zasłony i sypialnię zalało światło poranka.

Zamrugła ponownie i rozejrzała się wokół z niedowierzaniem. Poczute lęk.

Nic nie było takie samo jak wtedy, kiedy kładła się spać. Bardzo dziwne. Wszystko było dokładnie takie, jak w jej sypialni w pałacu.

Budzik, który dostała na trzynaste urodziny, stał na marmurowym blacie nocnego stolika. Błyszczące jedwabne poduszki, które zbierała w całej Europie, leżały starannie ułożone na kanapce przy oknie... Orientalny dywan na podłodze, ciemnoniebieskie zasłony, lampa od Tiffany'ego i zabytkowy klęcznik w rogu...

Spojrzała na jedwabną koszulę nocną z długimi rękawami, którą miała na sobie... Jej koszula. Jak to możliwe?

Jak te rzeczy znalazły się w Australii? I dlaczego pokojówka mówi po francusku?

- Skąd wzięły się tutaj te rzeczy? - spytała, odsuwając kołdrę. - To są moje rzeczy.

Próbowała usiąść, ale zakręciło jej się w głowie i opadła z powrotem na poduszkę.

- Dziwne pytanie. - Pokojówka pokręciła głową i popatrzyła z uśmiechem na Isabellę. - Niby skąd miały się wziąć? To pani sypialnia.

- Ależ ja nie jestem w Amorii. - Zerknęła nerwowo w stronę okna i serce jej zamarło, kiedy ujrzała blade europejskie niebo i - o zgrozo - płatki śniegu na tle wieży zamku Valdenza.

- Oczywiście, że Wasza Wysokość jest w Amorii.

Isabella przyjrzała się pokojówce uważnie. Szare zimne oczy, ostre rysy. Na pewno nigdy nie widziała tej kobiety.

- Kim pani jest?

- Jestem twoją pielęgniarką.

- Moją pielęgniarką? Przecież nie byłam chora! - zawołała. - Jestem zdrowa jak ryba. Bywałam łódką. Byłam... byłam w Australii. Nic nie rozumiem.

- Australia? Ależ skąd, kochanie. Chorowałaś kilka dni. Niczego nie pamiętasz? Złapałaś groźnego wirusa. Wszyscy odchodziliśmy od zmysłów. - Kobieta podeszła do łóżka. - Nie możesz za dużo mówić.

- Gdzie jest moja pokojówka, Toinette?

- Toinette została skierowana do innych obowiązków.

Isabella spojrzała na kobietę z przerażeniem. Toinette była przy niej przez całe życie.

Pielęgniarka dotknęła zimną ręką czoła Isabelli.

- Wreszcie gorączka ustąpiła - powiedziała. - Musisz odpoczywać przez cały dzień. Musisz odzyskać siły. Jutro twój ślub.

Jutro? O Boże! Serce jej zamarło. Pod kołdrą zaczęły drżeć jej nogi.

- Cały kraj modlił się o pani zdrowie - dodała z uśmiechem pielęgniarka.

- Ale nie zamierzam wychodzić za mąż. Nie mogę. - Isabella zignorowała zawroty głowy i z wysiłkiem usiadła. - Chcę mówić z moim ojcem.

- Król jest na ważnym spotkaniu.

- Tak wcześnie? W takim razie poproście mojego brata. Porozmawiam z Daniorem. - Zerknęła na nocny stolik. - Gdzie jest mój telefon? Coście z nim zrobili?

Pielęgniarka spojrzała na nią lisim wzrokiem.

- Hrabia de Montez zasugerował, że lepiej będzie usunąć go stąd na czas choroby, by jego dźwięk pani nie drażnił.

- Czy to hrabia panią wynajął? - spytała Isabella.

- Oczywiście. Nie szczędzi pieniędzy. Jest cudowny. Ma pani szczęście. Jego jedynym pragnieniem jest widzieć panią zdrową.

- Jestem zdrowa. Chcę z powrotem mój telefon. Żądam. I chcę Toinette.

Kobieta uniosła brwi.

- Muszę spytać hrabiego.

Isabella opadła na poduszkę i patrzyła, jak pielęgniarka wychodzi z pokoju. Chwilę potem spuściła nogi z łóżka. Wstała z wysiłkiem, walcząc ze strachem i zawrotami głowy.

O Boże, czuła się fatalnie. Drżąca, słaba i przerażona. Naprawdę musiała być chora. Jak to możliwe? Czy wszystko, co przytrafiło się jej w Australii, było tylko dziwnym snem? Czy Jack był halucynacją?

Stała niepewnie, trzymając się rzeźbionego cedrowego wezgłowia, a gdy przyszła nieco do siebie, ostrożnie podeszła do okna. Widok z pałacu rozciągał się daleko, aż po sosnowe lasy u stóp Alp i górujące w oddali szczyty gór.

Nie to chciała zobaczyć. Czemu nie ma jej w Killymoon, skąd widać szeroką brązową rzekę Pinnaroo? Powinna schronić się przed gorącym australijskim słońcem pod kapeluszem z ogromnym rondem.

Być z Jackiem.

Och, Boże, czy to na pewno nie był sen?

Szybko spojrzała na pałacowy dziedziniec w dole. Wszędzie po śniegu kręcili się ludzie jak pracowite mrówki. Lokaje, służący, umundurowani strażnicy biegali między magazynami, kuchnią i wejściem do głównej sali. Bez wątpienia tylko jedno im przyświecało. Królewskie wesele.

Jutro? Jak to możliwe? Gdzie zgubiła dwa dni?

Poczuła przyływ mdłości. Nogi się pod nią ugięły, musiała przytrzymać się framugi okna.



To się nie może stać. Nie wyjdzie za Radika. Nie może, nie chce.

Spojrzała w owalne lustro w rogu pokoju i przestraszyła się własnego odbicia. Jak ona wygląda? Normalnie nie jest tak blada i wychudzona, i te podkrążone oczy.

Czyżby była chora?

Włosy miała zaplecione we francuski warkocz. Przez kogo? Co się dzieje?

Czuła się zagubiona.

Z tyłu otworzyły się drzwi i do sypialni wszedł hrabia de Montez, wyciągając do niej rękę.

- Ukochana! Zadrzała.

Radik, ubrany w ciemny włoski garnitur, z gładko zaczesanymi do tyłu ciemnymi włosami i przyklejonym uśmiechem wyglądał na idealnego narzeczonego księżniczki.

- Jak miło widzieć, że już ci lepiej - powiedział ciepło, biorąc ją za rękę.

Isabella zachwiała się i Radik podtrzymał ją pod ramię.

- Ostrożnie, kochanie. Pozwól, zaprowadzę cię do łóżka.

- Nie jestem chora - próbowała krzyknąć, ale głos jej niespodziewanie zadrzał.

- Dobrze to słyszeć, najdroższa. - Przytknął suche wargi do jej czoła. Odruchowo się cofnęła.

- Biedna owieczko, miałaś złe chwile. To napięcie przedślubne. Oficjalne zaręczyny są takie wyczerpujące. - Poklepał ją po ręku. - Ale byłaś grzeczną dziewczynką i czujesz się lepiej. Niemniej jednak musisz jeszcze uważać na siebie przez najbliższą dobę.

Przeprowadził ją przez pokój. Potem niespodzianie wziął ją pod kolana, uniósł i delikatnie położył na łóżku. Usiadł na skraju i przyglądał się jej z zatroskaną miną.

- Chcę rozmawiać z ojcem. - Odepchnęła jego rękę, kiedy spróbował ją pogłaskać.

Radik, ignorując to, ujął jej dłoń.

- Oczywiście. Już posłałem kogoś do króla z dobrą nowiną, że ozdrowiałaś.

Isabella spojrzała z niesmakiem na trzymające jej dłoń chude, białe palce. Potem przyjrzała się bliżej swoim i zdrętwiała. Serce podskoczyło jej, kiedy zobaczyła dwa złamane paznokcie na palcach lewej ręki.

Złamała je pierwszego dnia na rzece, kiedy pomagała Jackowi przenosić łódkę.

Wsunęła prawą rękę pod kołdrę i dyskretnie sprawdziła nogę. Tak! Były tam zadrapania. Poraniła nogi w krzakach, kiedy szukała drewna na ognisko.

A jednak byłam w Australii.

Radosne podniecenie minęło, kiedy uświadomiła sobie kolejny problem. Jak Radik sprowadził ją do Amorii bez jej wiedzy?

Och, Boże.

Czyżby została uprowadzona z Killymoon? Ale dlaczego nic nie pamięta? Odurzono ją narkotykami?

Serce kołatało jej w piersi jak spłoszony ptak w klatce.

Tak musiało być. Dali jej coś, żeby nic nie pamiętała. To dlatego jest taka zdezorientowana. Ta myśl ją przeraziła.

- Radik, poślij po lekarza. Nalegam.

- Spokojnie, Isabello. Jesteś w tej chwili pod najlepszą opieką lekarską.

Czyżby narzeczony więził ją w jej sypialni? Chciała wyrwać rękę z jego uścisku. Chciała uciec od niego, powiedzieć, że nie wyjdzie za niego za nic w świecie.

Potem przypomniała sobie biednego Christosa Tenniego i jego dramatyczną śmierć pod kołami samochodu. Może lepiej ukryć strach i podjąć grę? Pozostawiła rękę w jego dłoni.

- Przyznam, że jestem rozczarowana, że ojciec jeszcze mnie nie odwiedził - powiedziała łagodniej.

- Był tu wczoraj.  
- Nic nie pamiętam. Czemu nie przyjdzie, skoro wie, że odzyskałam przytomność?  
- Król jest bardzo zajęty.  
- Jak zwykle - westchnęła. Jednak podejrzewała, że Radik znalazł sposób, by go trzymać na dystans.  
- Prowadzi ważne rozmowy z Unią Europejską, ale informuję go na bieżąco - wyjaśnił Radik. - Rozumie, że musisz dużo wypoczywać, i przesyła wyrazy miłości.  
- Jaki troskliwy.  
- Jest z ciebie dumny, kochanie. Zwłaszcza że jutro wyda cię za mąż.

Z trudem powstrzymała protest. Nie mogła zebrać myśli, ale szybko zorientowała się, że musi poczekać, aż jej się rozjaśni w głowie.

Jeśli narobi zamieszania, Radik znów może ją czymś odurzyć. Musi zachować spokój. Być miłą. Nie wzbudzać jego podejrzeń.

Na pewno chciał przetrzymać ją tu aż do ślubu. Pochylił się i przyjrzał się jej bacznie.

- Twoja pielęgniarka powiedziała, że miałaś dziwne sny. Myślałaś, że byłaś w Australii.

Puls przyspieszył jej gwałtownie, kiedy tak Radik wpatrywał się w nią zimnym wzrokiem. Ledwo mogła oddychać.

- Australia? - Zmarszczyła brwi. - Tak, po obudzeniu się myślałam o Australii. Pielęgniarka wyjaśniła mi, że jestem chora. Miała rację. Nigdy tam nie byłam.

Widziała jego napięcie. Zaciśnął usta.

- Jesteś o tym przekonana, Isabello?

Krew dudniła jej w uszach. Co powinna odpowiedzieć? Spodziewał się, że zapomni o Australii, czy wiedział, że to niemożliwe?

Ścisnęła kołdrę dla dodania sobie odwagi.

- Wszystko mi się pomieszało, Radiku. Ubiegły tydzień był okropny. Już nie wiem, co mi się śniło, a co było naprawdę. Czy mógłbyś mi powiedzieć, co właściwe robiłam? Jak mogłam polecieć do Australii i z powrotem?

Radik rozważał odpowiedź nieskończenie długo.

- Zachowywałaś się bardzo dziwnie, ale wkrótce wszystko będzie w porządku.

Popatrzył na nią spod przymkniętych powiek i przesunął paznokciem od jej ramienia, przez szyję, po ucho. Paznokieć wydał się jej równie groźny jak nóż.

- Nie bój się, kochanie. Nie masz pojęcia, z jaką niecierpliwością oczekuję jutra.

Nie! Nie wyjdę za ciebie! Nie i nie.

Przestraszyła się. Jak teraz zdoła odwołać ślub? Czemu nie znalazła sposobu, by skontaktować się z ojcem, kiedy tylko Christos uprzedził ją o niebezpieczeństwie?

Usiłowała pozbierać myśli. Co robić? Nie wiedziała, jakimi kłamstwami narzeczony karmił jej ojca i brata, ale jedno było pewne: postanowił uniemożliwić jej kontakt z osobami, które mogłyby odwołać ślub. Co oznaczało tylko jedno przerażające wyjście.

Ślub musi się odbyć.

Zasłoniła ręką usta, by nie krzyknąć z przerażenia. Musi poczekać do jutra, aż znajdzie się w katedrze. Dopiero tam w obecności ojca, biskupów i dygnitarzy z całej Europy będzie bezpieczna. Hrabia de Montez nie śmie jej skrzywdzić.

Wtedy będzie mogła wszystko powiedzieć. Boże, czy znajdzie w sobie dosyć siły, by przerwać własny ślub? Czy Amorianie jej to wybaczą? A ojciec?

Myśl o tym, że wszystkim sprawi zawód, poraziła ją. Ale czy miała wybór?

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Po raz pierwszy od wylądowania w Amorii Jack miał szczęście.

Wątpił, czy uda mu się dotrzeć do katedry, gdzie Isabella miała wziąć ślub. Obawiał się, że łajdak de Montez uprzedził policję i odeśle go na lotnisko. Kiedy jednak pomachał zaproszeniem ojca, wpuszczono go bez przeszkód.

Aż sam się zdziwił, jak w pewny siebie sposób i spokojnie wmieszał się w tłum gości o błękitnej krwi z całej Europy. Stąpając po czerwonym dywanie, wchodzili oni przez wielkie wrota do katedry.

Było aż za dużo ciekawskich spojrzeń kobiet. Kręciły głowami tak intensywnie, że omal nie pogubiły kapeluszy i diademów. Cholernie irytujące. Jack miał na sobie biały frak, podobnie jak inni mężczyźni. Najwyraźniej, jako nowy mężczyzna wśród gości królewskiej krwi, budził towarzyską sensację.

Zignorował uprzejme uśmiechy i grzecznościowe uwagi sąsiadów i poszukał sobie miejsca. Usiadł w ławce z dala od nawy głównej. Miał stąd dobry widok na przybrany kwiatami ołtarz.

Kiedy spojrzał na miejsce, gdzie niebawem stanie Isabella, nerwy dały znać o sobie.

Spociał się pod sztywnym kołnierzykiem. Serce zabiło mocniej, żołądek zwinął się w węzeł.

Rozejrzał się wokół i kiedy oglądał przepych wnętrza gotyckiej budowli, coś ścisnęło go za gardło. Ostre sklepienia, olbrzymie witrażowe okna za ołtarzem, ogromne organy.

Trudno o bardziej uroczystą oprawę. Kiepskie miejsce na robienie skandalu.

Modlił się o natchnienie, a raczej o boską interwencję. Tylko cud mógłby ocalić teraz Isabellę. Cud albo... Jack. Ale

jak on, niżej urodzony, do tego człowiek z drugiego końca świata, mógłby przerwać ceremonię?

Najgorsze było to, że nie wiedział, co z Isabellą. Jak się czuje, co pamięta? Gdyby mógł jej dotknąć, spojrzeć w oczy...

Niewiele mógł działać i martwił się o nią.

Kiedy policja z Darwin zbadała znalezioną przez jego rodziców strzykawkę, okazało się, że zawierała siady halucynogenów, ze skopolaminą włącznie. Ulubiona mieszanka złodziei okradających nieświadomych turystów.

Jednak amoriańska policja nie uwierzyła w zapewnienia Jacka, że ich księżniczka została uprowadzona z Australii.

- To niemożliwe! Jej Wysokość nie opuszczała kraju - twierdzili. - Była chora i od zeszłego piątku nie opuszczała pałacu.

Niepotrzebnie zrobił im awanturę.

Policja uznała, że jest szalonym turystą z Australii i wyrzucono go na ulicę.

Nie było też szans na pomoc z pałacu.

Narzeczony Isabelli najwyraźniej czuwał nad wszystkim i próby Jacka, który chciał skontaktować się z królem czy księciem Daniorem, zostały zablokowane.

Tymczasem przyglądał się gościom zgromadzonym w ławkach, starając się wypatrzeć ludzi wyszkolonych do zatrzymania każdego, kto próbowałby zbliżyć się do księżniczki. Ochrona musiała być szczelna. Na pewno dyskretnie wmieszała się w tłum.

Zwykle kościół uważano za sanktuarium, gdzie nie wolno było wnosić broni, ale było tu tyle głów państw i VIP - ów, że Jack podejrzewał, iż jeśli popełni nieroztropny ruch, mogą go zastrzelić.

Isabella była gotowa.

Zapierającą dech suknię ślubną uszyto ze srebrnego francuskiego brokatu. Ciemne włosy związała pomarańczową

wstążką, a na głowę włożyła średniowieczny welon podtrzymywany przez brylantowy diadem jej matki.

Brylanty połyskiwały w jej uszach, wokół szyi i na piersi. W ręku trzymała bukiet białych lilii, symbol cnoty i płodności.

Każdy szczegół jej wyglądu był królewski i romantyczny. Wiedziała też, że w przyległym pokoju czeka sześć drухen ubranych w białe jedwabne suknie, z naręczami śnieżnobiałych róż.

W sali balowej, w zachodnim skrzydle, majordomus udzielał ostatnich instrukcji podręcznym, podczaszym, lokajom i służbie, by upewnić się, że weselny obiad zostanie podany z precyzją godną manewrów wojskowych.

Przed stopniami pałacu czekał otwarty powóz, by przewieźć ją i jej narzeczonego ulicami pełnymi wiwatujących tłumów do katedry.

Tymczasem Isabella myślała tylko o Jacku.

Tęskniła za nim aż do bólu, aż do łez.

Przez całą noc nie spała, przeżywając na nowo każdą chwilę z ich wyprawy rzeką... wspominała ciepło jego ust... rozgrzewający ją dotyk... rozkosz, kiedy przesuwiał dłońmi po jej ciele... porywającą namiętność ciał złączonych w intymnym uścisku.

Kochała go.

Nie dlatego, że ją ratował i chronił, że wzbudził w niej namiętność. Pokochała go za jego osobowość.

A teraz, kiedy tak stała w oknie w sukni ślubnej i po raz ostatni spoglądała na ukochane miasto, lilie w jej rękach zadrżały.

Jack słyszał ogłuszające wiwaty przed katedrą. To znaczy, że Isabella przybyła. Przeszył go dreszcz. Wiwaty zmieniły się w ryk. Żołądek mu się ścisnął. Sięgnął do kieszeni po chusteczkę, by otrzeć czoło.

Wtem fanfary oznajmiły wejście młodej pary do katedry. Zgromadzeni wstali. Morze głów skierowało się ku wrotom.

Muzyka organowa wypełniła przestrzeń i Jack z zapartym tchem zobaczył w progu Isabellę. Wyglądała tak pięknie, że zaschło mu w ustach. Była zarazem odmieniona, wspaniała i eteryczna. Wydawało się, że idzie jak w transie.

Serce waliło mu jak młot. W jaki sposób tydzień spędzony w Pelican's End, który miał przeżyć w samotności, doprowadził go do tego stanu?

Isabella pragnęła nie czuć nic, zwłaszcza tego strachu i ucisku w żołądku. Oddychała z trudem.

Jej pokojówki tylko pogarszały sprawę, szepcząc nerwowo i miotając się z trenem. Zdobyła się na głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze. Pomogło, więc powtórzyła to jeszcze raz.

Być może w ten sposób uda się odpędzić strach. Musi skupić się na oddechu. Na niczym więcej.

Dzięki temu odgrodzi się od tysięcy obserwujących ją oczu. Dwa kroki na wdech, kolejne dwa na wydech.

Oddychać powoli i iść miarowo. Tak przejdzie nawą.

- Już czas, Wasza Wysokość.

Ratunku! Nadszedł najgorszy moment. Ojciec czeka na nią w połowie drogi do ołtarza. Zgodnie z tradycją pierwszy odcinek musi przejść sama. Wzięła wdech i niepewnie zrobiła krok naprzód. Nie patrz na boki, wdech... Weszła do katedry, wydech...

Stało się. Szła nawą główną w kierunku ojca. Nie myśl, tylko oddychaj.

Muzyka organowa sięgnęła zenitu. Oddech, krok. Szła tak bez końca, aż znalazła się obok ojca. Zdawało jej się, że nie widziała go całe wieki. Wyciągnął do niej rękę.

- Witaj, kochanie. - W głosie słysząc było przejęcie.



Czy się uśmiechał? Twarz ojca rozmyły cisnące się jej do oczu łązy.

Król podszedł bliżej i wziął ją pod rękę, by poprowadzić do ołtarza. Do Radika.

Isabella stała bez ruchu.

- Idziemy - rzekł król.

Serce jej zamarło, potem zaczęło gwałtownie bić.

- Nie - szepnęła.

Wyczuła niezadowolenie ojca. Mocniej przytrzymał ją za ramię i usiłował poprowadzić dalej.

- Chodź, Isabello.

- Nie. - Boże, czy starczy jej sił, by przeciwstawić się człowiekowi, który kierował nią przez całe życie? - Nie pójdę dalej - powiedziała. - Nie mogę wyjść za Radika.

Mocniej ścisnął jej rękę.

- Isabello, weź się w garść - wycedził przez zęby król.

- Ojczy, nie zmuszaj mnie do tego.

- Co cię naszło? Co ty wyprawiasz?

Mimo głośnej muzyki organowej dał się słyszeć szmer zdumionych gości.

Powiodła wzrokiem wzdłuż nawy i przy ołtarzu ujrzała Radika. Wpatrywał się w nich twardym spojrzeniem.

- Wciąż jesteś chora? - spytał łagodniej król. - Oprzyj się na mnie.

- Nie jestem chora, ojczy. Przepraszam, że ci to robię, ale nie mam wyjścia. Odmawiam zawarcia tego małżeństwa.

Kolejne nerwowe spojrzenie w stronę Radika. Był poczerwieniały ze złości. Wyglądał tak, jakby zamierzał pognać ku niej. Czy musi wykrzyczeć swoją odmowę? Czy Radik i ojciec mogą zmusić ją do ślubu?

Muzyka ucichła na chwilę i usłyszała podniecone szepty oraz kroki. Podniesiony męski głos.

Potem rozległ się inny głos, znajomy.

- Carmen!

Isabelle przeszły dreszcz.

Jack?

Czyżby śniła? Skąd się tu wziął? Kiedy widziała go po raz ostatni, miał wiosłować do Pelican's End.

Wyrwała się z uścisku ojca i odwróciła. Wtedy zobaczyła, jak szedł nawą w jej stronę, ciągnąc za sobą dwóch ochroniarzy niczym małe pieski, które wczepiły się mu w ubranie.

Jack. Utkwił w niej spojrzenie niebieskich oczu. Wyglądał na zdeterminowanego. Wyglądał wspaniale. Na tle wystraszonych, pobladłych druhen jego opalenizna wydawała się jeszcze mocniejsza.

Isabella była wstrząśnięta, zdumiona, szczęśliwa i przerażona zarazem.

- To bezczelność! - zawołał król. - Straż, aresztować go!

- Nie! - krzyknęła Isabella.

Nawa zaroila się od ludzi w mundurach.

- Nie! - krzyknęła jeszcze raz.

Organy umilkły w dysonansie. Z bijącym sercem Isabella uniosła ciężką suknię i pobiegła w stronę Jacka. Słyszała zbiorowy jęk zszokowanych gości. Za nią biegł król.

Zerknąwszy do tyłu, zobaczyła, że Radik pędzi za jej ojcem, a na końcu zdumiony biskup.

Pragnęła przytulić się do Jacka. Chciała wpaść w jego ramiona, poczuć jego siłę i jak zawsze znaleźć w nim oparcie, ale uniemożliwiali to trzymający go strażnicy. Spojrzeli sobie w oczy i Isabella poczuła znajomy dreszcz.

- Kim jesteś? - zagrzemiał król Albert.

Mimo że trzymali go strażnicy, Jack wyprostował się. Stanowczym spojrzeniem odparował gniewny wzrok wzburzonego monarchy.

- Wasza Wysokość, jestem Jack Kingsley - Laird - odparł po angielsku.

- Syn Johna i Elizabeth? Z Australii?

Król spojrział na córkę, potem z powrotem na Jacka.

- Co znaczy ten niewybaczalny wybryk?

- Pańska córka potrzebuje mojej pomocy. I Waszej Wysokości również.

- To kompletna bzdura.

- Proszę ją spytać - nalegał Jack.

- To prawda, ojczy! - krzyknęła Isabella. - Muszę z tobą porozmawiać. Nie mogę...

- Nie słuchaj ich! - Radik przepchnął się łokciami do środka.

Ciemne włosy okalały pobladałą jak śnieg twarz. Cały kipiał z wściekłości. Wskazujący palec oskarżycielsko wycelował w Jacka.

- Żądam, aby natychmiast usunięto stąd tego kryminalistę i bezzwłocznie kontynuowano ceremonię.

Isabella omal nie zemdląła, widząc zaciętą twarz Jacka, niedowierzającą minę ojca, zszokowanego biskupa i wściekłego Radika.

- Za późno, Radik - powiedziała spokojnie, choć bała się, że zemdleje. - Nie zamierzam wyjść za ciebie.

W katedrze rozległ się jęk przerażenia.

- Ojczy, proszę, odwołaj ślub. Nie mogę wyjść za niego.

- Ależ Isabello...

- Proszę - powtórzyła z naciskiem. Bała się spojrzeć na Radika.

- Jesteś pewna? - spytał król.

- Przykro mi, ojczy, ale tak. Jestem więcej niż pewna. Mogę wszystko wyjaśnić.

Przez nieskończenie długą chwilę nikt nic nie mówił. Wreszcie król skinął głową.

- Dobrze - powiedział, spojrzał na Isabelłę, dłużej przyjrzał się Jackowi. Wreszcie popatrzył na Radika. Zmarszczył brwi i pokiwał głową. - Lepiej omówmy to w zakrystii. Przykro mi, Eminencjo - zwrócił się do biskupa - ale Eminencja musi ogłosić krótką przerwę w uroczystościach.

Kiedy Isabella i Jack opowiedzieli swoją historię królowi Albertowi, ten wyglądał jak stary, oszukany człowiek

- Jak Radik mógł mnie tak zwieść? - mruknął, kiwając smutno głową. - Pokładałem w nim wielkie nadzieje. Miał takie interesujące plany dotyczące naszych dóbr.

Król siedział przez kilka minut, wpatrując się w przestrzeń. Potem odzyskał dawną werwę.

- Nie mam wyboru - powiedział. - Musimy przerwać ceremonię. Niech biskup się tym zajmie.

Isabella zamknęła oczy, czując, jak spada jej kamień z serca. Król wstał.

- To był bezpośredni atak na rodzinę królewską. Radika trzeba zatrzymać. Porozmawiam z szefem policji o okolicznościach śmierci biednego doktora Tenniego. - Podszedł do drzwi zakrystii. - Potrzebuję pałacowego sekretarza, żeby zażegnał ten kryzys. - Westchnął głęboko. - Ale zrobiło się zamieszanie.

- Wybacz, ojcze. Gdybym mogła się z tobą skontaktować, ślub odwołalibyśmy tydzień temu.

Spojrzał na nią ze smutkiem, lecz nie dał jej tak oczekiwanego rozgrzeszenia.

Była naiwna, sądząc, że to, co usłyszał, zmieni go. Nic z tego. Nie było najmniejszych szans, że pojmie, iż nie doszłoby do tego, gdyby więcej się nią interesował.

Podszedł do drzwi i zamienił kilka słów ze strażnikiem. Isabella odwróciła się do Jacka. Podczas rozmowy zerkała na niego, podziwiając jego rysy twarzy, znajomy, niespokojny błysk niebieskich oczu, opaleniznę i prostą linię ust.

Jego obecność osłodziła jej wszystkie straszne chwile. Chciała być z nim sama, poczuć napawający otuchą dotyk, podziękować za ratunek. Pozostał w oddaleniu, usiadł z dala od niej. Czują istniejącą między nimi przepaść.

- Isabello - głos ojca wyrwał ją z rozmyślań. - Powinnaś wrócić do pałacu. Są sprawy, które muszę omówić z panem Kingsleyem - Lairdem.

Sprawy do omówienia? Jakie? Też chciała porozmawiać z Jackiem. Ojciec odprawił ją jak małą dziewczynkę.

- Ruszaj, moje dziecko - dodał król.

Nerwowo mnąc brokat sukni, zerknęła na Jacka. Ten z ponurą miną obserwował jej ojca.

- Czy ta dyskusja mnie dotyczy? - Uniosła głowę. Król otworzył usta z niedowierzaniem, że jego zwykle posłuszna córka znów stwarza problemy.

- Owszem - odparł.

Do tej pory myślała, że najgorsze minęło. Poczwała się lepiej. Jednak zabolęło ją, że chcą ją odprawić.

- W takim razie zostanę.

Po drugiej stronie pokoju Jack chrząknął, a kiedy spojrzała na niego, zmarszczył brwi i pokręcił głową. Też chciał, by wyszła?

Tego już za wiele! Czy musi żyć w otoczeniu mężczyzn cierpiących na kompleks wyższości?

- Czy nie mam prawa wiedzieć, co się o mnie mówi? Król westchnął głośno.

- Jak możesz być tak uparta, Isabello? Z tego, co słyszałem o twoim pobycie w Australii i co zobaczyłem dziś na własne oczy, jasno wynika, że muszę spytać pana Kingsleya - Lairda o jego zamiary.

Wydała z siebie jęk niedowierzania.

Jack drgnął, jakby wymierzono mu policzek.

- Moje zamiary? - spytał niepewnie.

- Właśnie - odparł król. - Zjawiasz się z drugiego końca świata, by storpedować ślub mojej córki. Rozumiem, że podstawowym motywem było bezpieczeństwo Isabelli, ale nie uwierzę, że odbyłeś tak długą drogę, nie żywiąc do niej żadnych uczuć.

Zażenowana Isabella zamknęła oczy. Jak jej ojciec mógł to zrobić? Potraktował Jacka jak zalotnika przyłapanego w kompromitującej sytuacji. Miała uczucie, jakby wciągnęła swego wybawcę w pułapkę.

- Moja córka - ciągnął król - spędziła kilka dni wyłącznie w pańskim towarzystwie. Czyż nie powinienem wiedzieć o niektórych sprawach?

- Ojcze! - zawołała przerażona. Ze wstydu chciała zapaść się pod ziemię. - Chyba wyciągasz zbyt pochopne wnioski.

- Czyżby? - spytał król. Popatrzył na nich i uniósł brwi. Jack odchrząknął.

- Wasza Wysokość, Isabella i ja właściwie nie omawialiśmy, to znaczy, nie zastanawialiśmy się nad moimi zamiarami. Nie mam...

Isabella zakryła twarz dłońmi. To było straszne. Jack przyleciał z Australii, by ją ratować. Jednak nie powiedział, jakie ma wobec niej zamiary. Nie zamierzał się oświadczyć.

Bóg jeden wie, jak była wstrząśnięta, widząc go w katedrze. W pierwszej chwili myślała, że kocha ją równie mocno jak ona jego i że zjawił się nie tylko, by ją ratować, ale żeby jej wyznać miłość.

Jednak teraz kamienna twarz Jacka świadczyła o tym, że był to jedynie wymysł jej romantycznej wyobraźni.

Nie zmienił zdania, odkąd rozstali się w Killymoon.

Nie zniesie tego, kiedy usłyszy, że nie ma wobec niej żadnych zamiarów. Jej obecność wadzi wszystkim...

- Może lepiej wyjdę - wydusiła przez ściśnięte gardło. Mężczyźni popatrzyli sobie w oczy i skinęli głowami. Tłumiąc szloch, wybiegła z pokoju.

Król patrzył, jak zatrzaskuje za sobą drzwi. Potem spojrzał Jackowi w oczy.

- Postaw się w mojej sytuacji. Dziś rano przeżyłem szok. Okazało się, że bardzo zawiodłem jedyną córkę. Nie widziałem, co dzieje się tuż pod moim nosem. Isabella musiała przemierzyć ocean w poszukiwaniu bezpieczeństwa, a na ratunek pospieszył jej nieznajomy.

- Okoliczności... - zaczął Jack, ale król przerwał mu machnięciem ręki.

- Po śmierci żony nie byłem dobrym ojcem.

Jack przezornie nie skomentował tego. Myślał o cierpieniu Isabelli.

- Radik mydlił mi oczy, ale dzisiaj wreszcie przejrzałem - ciągnął król Albert. - Widziałem, jak zmagales się z ochroną w katedrze, ale nie wyczułem w tym strachu ani złości.

Ujrzałem troskę o Isabellę. I pożądanie. Tak samo zareagowała moja córka.

- Pańska córka jest wspaniała, sir.

- Chodzi o jej bezpieczeństwo i szczęście.

- Tak. - Jack z trudem cedził słowa przez ściśnięte gardło.

- To całkiem zrozumiałe.

W poczuciu winy spuścił wzrok. Chciałby zapewnić ojca Isabelli o tym, że intencje jego są honorowe, ale przecież pozbawił ją dziewictwa i opuścił tego samego dnia.

Czy miał prawo oferować jej szczęście i bezpieczeństwo? W czym był lepszy od łajdaka de Monteza?

- Jestem Australijczykiem niskiego stanu.

- Wiem, ale jest mało prawdopodobne, że Isabella zasiądzie na tronie. Pochodzisz z dobrej rodziny. - Król Albert

uśmiechnął się kącikiem ust. - Należycie do śmietanki towarzyskiej Australii, czyż nie tak?

Nie czekając na odpowiedź, podszedł i poklepał Jacka po ramieniu.

- Ale może znów się pospieszyłem. Mówiłeś, że nie uzgodniliście swoich planów. Cóż, idź i porozmawiaj z nią. Czekam do wieczora.

- Dzisiejszego, sir?

- Przyjdź do pałacu na kolację, wtedy mi odpowiesz. - Król odwrócił się i otworzył drzwi. Natychmiast otoczyli go ludzie próbujący mu coś powiedzieć.

- Kolację jadam o ósmej - rzucił Jackowi przez ramię.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Isabella leżała na łóżku ubrana jedynie w halkę, otoczona stosem mokrych, pomiętych chusteczek. Do sypialni dyskretnie weszła pokojówka.

- Czy Wasza Wysokość przyjmuje?

- Nie. Mówiłam ci, nie chcę nikogo widzieć.

Wolała pozostać w mroku sypialni na zawsze, otulić się w rozpacz i unikać wścibskich oczu. Po tym wszystkim chciała się wypłakać. Miała żal do ojca. Ten człowiek miał wrażliwość nosorożca. Jak mógł zadać Jackowi takie pytanie? Czy nie rozumie, że zagnał go do narożnika?

Czemu urodziła się jako córka króla? O Boże, znowu traci kontrolę nad swoim życiem.

Pokojówka kręciła się niepewnie koło łóżka.

- Co mam przekazać, Wasza Wysokość?

Isabella westchnęła. Gdzie jest jej stara pokojówka? Toinette wiedziałaby, co robić, bez zbędnych pytań.

- Nic - zawołała, wyciągając z pudełka kolejną chusteczkę. Głośno wytarta nos. - Przepraszam. Powiedz, że jestem niedysponowana i odeślij go.

Jack, siedzący na skraju zabytkowej kanapy w bawialni księżniczki, rozluźnił sztywny kołnierzyk. Do pałacu przyszedł wprost z katedry. Nie przebrał się i było mu niewygodnie. Nerwy ścisnęły mu żołądek. Westchnął niecierpliwie, wstał i podszedł do okna.

Na zewnątrz z jasnoszarego nieba opadały płatki śniegu. Wcisnął ręce głębiej do kieszeni i patrzył, jak śnieżynki pokrywają stary, brukowany dziedziniec zamku. Za pałacowymi wrotami śnieg spowił już miasto białą kołdrą.

Było białe i czyste jak Isabella, kiedy weszła dziś do katedry. Na wspomnienie, jak pięknie wyglądała, poczuł ucisk w gardle.

Był przerażony, kiedy zrobiła pierwsze kroki w stronę ołtarza. Przerażony tym, że zmierzała ku zgubie, a on nie był w stanie jej pomóc. Najbardziej jednak niepokoiło go odkrycie, że ukochana księżniczka Amorian, Isabella, przebiła się przez mur, który wznosił wokół serca. Kochał ją.

Starał się temu zaprzeczyć, ale stało się. Kochał tę odważną Cyganę, piękną księżniczkę, która przywróciła mu, zdawałoby się na zawsze stracone, wiarę w sens życia i szczęście.

Kochał ją mimo obaw, że mógłby cierpieć z powodu innej kobiety bardziej niż po stracie Geri.

Niewątpliwie stało się to na długo przed tym pamiętnym porankiem nad rzeką. Być może nawet pokochał ją tej pierwszej nocy w chacie...

Wiedział tylko, że jest głęboko, nieodwracalnie zakochany. A ona jest bezpieczna.

Jej ojciec zadał mu pytanie, którego sam sobie do tej pory nie zadał.

Jakie są jego zamiary?

Westchnął cicho. Na widok śnieżnego krajobrazu zrobiło mu się ciężko na duszy. Jak mógłby prosić Isabellę o pozostawienie tego wszystkiego? Jej ojczyzna była jak wiekowa dama, pełna godności, bezkonfliktowa i oparta na wielowiekowej tradycji.

Trudno o coś bardziej odmiennego niż busz Australii Północnej z jej dziką, surową przyrodą. Cóż mógłby jej zaoferować?

Jeśli poprosi ją o rękę, będzie zarazem prosił, by dzieliła czas między dwa kraje, dwa światy...

Odwrócił się na jakiś odgłos dochodzący z za jego pleców. Czy znajdzie właściwe słowa, by ją przekonać?

Ku jego zdziwieniu była to tylko służąca. Ze smutkiem pokręciła głową.

Isabella podniosła głowę z mokrej poduszki. Starła się wyglądać normalnie, kiedy pokojówka delikatnie stawiała na stoliku filiżankę.

- Dziękuję - odparła.

Dziewczyna stała przy łóżku, mnąc fartuszek.

- Przepraszam, Wasza Wysokość, ale ten dżentelmen nie chce odejść bez odpowiedzi.

- Dżentelmen? - Zaciekawiała się Isabella. - Jaki dżentelmen? Co go sprowadza?

- Twierdzi, że jest pani lekarzem, i nalega, by się z panią zobaczyć.

- Mój lekarz? - Isabella spiorunowała dziewczynę wzrokiem. - Nie rozumiem.

- To dziwne, że ma pani zagranicznego lekarza.

- Zagra... - Ogarnął ją dziwny niepokój. - W jakim sensie zagranicznego?

- Nie jestem pewna. Mówi po angielsku, choć brzmi to jakoś dziwnie, jeśli Wasza Wysokość wie, co mam na myśli.

- O Boże, to musi być Jack! - Isabella zerwała się i złapała pokojówkę za ramiona. - Czy Jack jest tutaj? W pałacu?

Dziewczyna wyglądała na wystraszoną.

- Przedstawił się jako doktor Kingsley - Laird.

- O mój Boże! - Serce omal nie wyskoczyło Isabelli z piersi. - Gdzie on teraz jest?

- Obawiam się, że za drzwiami.

Pobiegła w stronę drzwi, lecz zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Czerwony nos i oczy, policzki brudne od tuszu.

- O, nie! Wyglądam jak strach na wróble po burzy. Zawróciła do łazienki.

- Powiedz mu, że będę gotowa za pięć minut. - W głowie miała kompletny zamęt.

Po co przyszedł? Co powiedział jej ojcu? Boże, chyba ojciec nie kazał mu tu przychodzić?

Drżącymi rękami zmywała makijaż, starając się nie myśleć o minie Jacka, kiedy ojciec spytał go o zamiary.

Oplukwała twarz zimną wodą, usiłując zatrzeć ślady łez. Zdjęła pomarańczową wstążkę i wyszczotkowała splątane włosy.

Co Jack ma jej do powiedzenia? Czy będą to dobre wieści? Wiedziała, że raczej nie odwzajemnia jej uczuć.

Wróciła do sypialni, otworzyła garderobę i zaczęła przebierać w drogich kreacjach. W czym spodoba się Jackowi? O, niebios!

Z tyłu otworzyły się drzwi.

- Pięć minut minęło - usłyszała głęboki głos. Złapała się za gardło i odwróciła. Jack wszedł do sypialni.

Wyglądał tak, że chciała rzucić się mu w ramiona. Nie miała jednak pojęcia, po co przyszedł.

- Nie jestem jeszcze gotowa - zaprotestowała. Czowała się nad wyraz nieswojo, stojąc i trzymając koronkowy rąbek jedwabnej halki.

Wyczuł jej zmieszanie i uśmiechnął się.

- To i tak postępowanie w porównaniu z moją starą koszulą.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nieładnie wdzierać się do mego pokoju, udając lekarza.

- Musiałem cię zobaczyć.

- Rozmawiałeś z ojcem za moimi plecami. Co powiedział? Przysłał cię tu?

- Niezupełnie, Isabello. Król polecił mi porozmawiać z tobą, ale i tak chciałem przyjść.

Naprawdę, Jack? W pierwszej chwili poczuła ulgę, lecz jej nadzieje zgasły, kiedy zauważyła, w jakim jest nastroju.

Mimo że była półnaga, starała się zachowywać z godnością. Wskazała mu kanapę pod oknem.

- Usiądź, proszę. Wystarczy odsunąć poduszki.

Sama wybrała małe krzesło w rogu sypialni. Była równie zdenerwowana jak Jack.

Patrzyli na siebie przez szerokość pokoju. Zwilżyła językiem usta.

- Nie podziękowałam ci za to, co zrobiłeś rano. Nie wyobrażasz sobie, jak mi ulżyło, kiedy usłyszałam, jak mnie wołasz.

Uśmiechnął się, ale wciąż czuła jego napięcie.

- Musiałem przyjechać. Nie mógłbym zostać w Pelican's End, kiedy dowiedziałem się, że zostałam zdradziecko odurzona i porwana.

- Jak się o tym dowiedziałeś? Od rodziców? Skinął głową.

- Być może jedyną dobrą rzeczą w tym wszystkim jest to, że znów rozmawiam z ojcem.

- Cieszę się, ale czy to jedyna dobra rzecz, Jack?

- Radik już ci nie zagraża, a to najważniejsze.

- Tak.

Potarła ramiona. Choć w pokoju było ciepło, poczuła nagły chłód.

- Musisz wybaczyć memu ojcu. - Starła się podtrzymać rozmowę. - Tak przywykł do wydawania poleceń, że zapomina się i ingeruje w osobiste sprawy innych ludzi.

- Przeżył dziś rano szok. Nie można go winić, że pytał mnie o różne rzeczy po tym, jak przybyłem za tobą z krańca świata.

- Chyba nie powiedziałaś mu o...?

- O szczegółach naszej wspólnej podróży? Skinęła głową z nadzieją, że się nie rumieni.

- Nie, Isabello.

- Ale chciał poznać twoje zamiary? - Nerwowo zaciskała dłonie.

- Tak. Oczekuje odpowiedzi przy kolacji.

- Dziś wieczorem? - Sama słyszała w swym głosie niepewność i strach, skupiła się więc na leżących na podłodze wstążkach. - I co mu na razie powiedziałeś?

- Że nie mogę mówić o tak ważnej sprawie bez uprzedniego porozumienia się z tobą.

- Ale już to raz zrobiłeś, prawda? - Nagle łzy napłynęły jej do oczu. To straszne.

Nie podniosła wzroku. Czuła jego rosnące napięcie.

- Nie miałem...

- Wystarczy, Jack - przerwała mu, podnosząc rękę. - Rozumiem, że nie miałeś poważnych zamiarów. Nie chodzi o naciski mojego ojca. Przyjechałeś tu, bo jesteś dobrym człowiekiem, dżentelmenem, ale wiem, że nie widzisz dla nas przyszłości. Wyjaśniłeś mi to wszystko w Killymoon. W porządku, nie musisz tego powtarzać. Idź już. Powiem ojcu, że tu byłeś, że rozmawiałeś ze mną i wyjaśniliśmy sobie wszystko.

Jack zerwał się i podszedł do niej.

- Przestań paplać Isabello i daj mi dojść do słowa.

- Nie! - krzyknęła. - Nie trzeba. Zaledwie kilka dni temu wytłumaczyłeś mi dokładnie, czemu nie ma dla nas przyszłości. Powiedziałeś, że jesteśmy z zupełnie różnych światów. Rozumiem i jeśli nie zmieniłeś zdania, nie chcę znów tego słuchać.

- A jeśli zmieniłem zdanie?

- Co? - Podniosła gwałtownie głowę. Niebieskie oczy Jacka lśniły. Miał dziwny wyraz twarzy.

- Moja kochana, przyszedłem spytać, czy uczynisz mi ten zaszczyt i wyjdiesz za mnie.

O, nie, Jack. Nie tak i nie teraz.

Zrobiło się jej słabo, ukryła twarz w dłoniach. Teraz zrozumiała jego zdenerwowanie. To straszne.

- Isabello?

To wszystko było złe, chore. Ojciec kazał Jackowi, by się oświadczył. Jeszcze nie zdążyła przebrać się po ślubie, który nie doszedł do skutku, a już następny kandydat zmuszany jest do małżeństwa z nią.

- Myślałem, że ci na mnie zależy. - Stał obok niej.

- Tak, ale...

Delikatnie dotknął jej policzka.

- Wiesz, że cię pragnę.

Tak, udowodnił to, kiedy się z nią kochał. Robił to z namiętnością mężczyzny, który zbyt długo nie miał kobiety, a to wcale nie oznacza...

- Carmen - szepnął.

- Nie nazywaj mnie tak.

- Wiem, że nie będzie łatwo. Musimy znaleźć sposób, by pogodzić nasze zupełnie odmienne style życia. Myślę, że temu podołamy. Mam bardzo wygodny dom w Perth. Znajdę kogoś, kto przejmie większość moich obowiązków, a skoro pogodziłem się z rodzicami...

- Jack, błagam, nie.

- Co znaczy „nie”? - krzyknął, podnosząc ją z krzesła. Ich twarze niemal stykały się ze sobą. Nie proś mnie, żebym za ciebie wyszła, bo uważasz, że tak powinieneś postąpić.

- Nie traktuj uczuć, jakby to był biznes.

Westchnął niecierpliwie. Wziął w palce pukiel jej włosów. Wstrzymała oddech, kiedy tak na nią patrzył.

- Dobrze, odrzucmy logikę - powiedział, zanurzając głębiej dłoń w jej włosy. Odchylił do tyłu jej głowę i zbliżył się.

Jak mogłaby się oprzeć Jackowi, jego gorącym, pełnym namiętności, uwodzicielskim ustom? Jak mogłaby wyrwać się z jego objęć, w których zatracala się, a jej ciało topniało jak wosk?

A jednak! Zbyt łatwo mu to przychodziło.

Tak cudownie było mu ulec. Ale jej nie wolno. Dostała gorzką lekcję od Radika. Kiedy się zaręczyli, nie wspominał o miłości, a teraz Jack też o tym milczał.

Zesztywniała w jego ramionach.

- O co chodzi, Isabello?

Chciała mu powiedzieć: „Chcę usłyszeć, że mnie kochasz”. To proste. Ale skoro ma o to prosić...

Duma związała jej język. Duma i zdrowy rozsądek. Mogłaby wpłynąć na Jacka, by to powiedział, ale w ten sposób powtórzyłaby niegodne posunięcie ojca, który namówił go do przyjscia.

Jack nie jest w stanie pokochać jej tak, jak by tego pragnęła. Mówił jej, jak bardzo kochał Geri. Gdyby czuł do niej to samo, wyznałby jej miłość bez pytania.

- O co chodzi, Isabello?

- Wcale nie chcę, żebyś mnie całował, tylko żebyś sobie poszedł.

- Nie mówisz poważnie.

- Owszem.

- Jesteś pewna?

Otworzyła usta, lecz nie mogła wydobyć słowa.

- Powiedz to, Isabello - powiedział stanowczo. - Wyraż to słowami. Powiedz mi, że mnie nie kochasz i nie wyjdiesz za mnie. Każ mi odejść.

Łzy, które dotąd powstrzymywała, popłynęły jej z oczu.

- Proszę - szepnęła.

- Powiedz to.

- Odejdź... proszę.

- Płaczesz, nic nie rozumiem.

Idź, Jack, idź. Wyjdź, zanim się do reszty rozkleję i zrobię z siebie kompletną idiotkę.

Wzięła głęboki wdech i zmobilizowała wszystkie siły.



- Jestem bardzo wdzięczna za twoją pomoc. Naprawdę. Teraz jednak chciałabym, żebyś wyszedł. - Czują się chora, kiedy z wysiłkiem szła przez sypialnię. - Przekażę ojcu twoją odpowiedź - powiedziała, otwierając drzwi. - Wszystko mu wyjaśnię.

Błagam, nie patrz takim przerażonym wzrokiem.

- Czy to pożegnanie, Carmen? - Zbladł.

- Tak, żegnaj, Jack.

Nieludzko wolno przeszedł przez próg. Słyszała, jak mijając ją gwałtownie wciągnął powietrze, potem zatrzasnął drzwi za sobą. Dopiero wtedy rozplakała się naprawdę.

- Jeszcze kawy, sir? - stewardesa pochyliła się nad Jackiem z dzbankiem kawy.

- Dzięki - odparł, podając filiżankę, choć wątpił, czy jakakolwiek ilość kofeiny zdoła mu pomóc.

Czuł się fatalnie. Zepsuł dosłownie wszystko. Zachował się jak skończony dureń. Czy w dziejach ludzkości zdarzyły się kiedykolwiek głupsze, bardziej nietaktowne i pompatyczne oświadczenia?

Nie powinien tak łatwo ugiać się pod naciskiem jej ojca. Potrzeba było więcej czasu. Lepiej nazwać swoje uczucia. Otworzyć się przed ukochaną.

Sęk w tym, że po śmierci Geri wyobcował się towarzysko. Zbyt wiele czasu spędzał samotnie, zmagając się ze swymi myślami i emocjami. Zamknął się w sobie, niczym w tej chacie w dziczy.

W dodatku włożył wiele wysiłku, by przekonać Isabelle, że ich związek nie ma najmniejszych szans. Nie powinien więc się spodziewać, że uwierzy mu w tak nagłą zmianę. Tym bardziej nie była w stanie pojąć, ile odwagi musiał wykazać, by się jej oświadczyć.

Ale, do cholery, wejście na pokład samolotu odlatującego z lotniska Valdenza i zostawienie jej było najtrudniejszą

rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobił. Myśl o powrocie do Australii bez niej, o tym, że jej nie zobaczy, była nie do zniesienia.

Pograżył się we wspomnieniach.

Wszystko w nim rwało się do niej. Krew krążyła szybciej, kiedy przypominał sobie ten poranek nad rzeką, usta złączone z jej miękkimi, ciepłymi wargami, chętne, wijące się pod nim ciało.

Jednak najgorszym wspomnieniem było to najświeższe, kiedy odwróciwszy się od niego, pokazała mu drzwi...

Tymczasem popijał kawę gdzieś nad bezkresnymi rosyjskimi stepami, kiedy samolot zmierzał do Tokio, a potem na północ Australii.

Isabella i Amoria zostały z tyłu. Zniknęły z jego życia. Nieśmiała nadzieja na ponowne ułożenie sobie szczęśliwego życia rozwiąła się. Jakoś to przeżyje, podobnie jak trzy ostatnie lata.

Jack znów znalazł się w piekle.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Panie Kingsley - Laird, jak miło pana widzieć! - Siostra przełożona podeszła bliżej, gdy rozsunęły się drzwi szpitala królewskiego w Perth, by powitać Jacka.

- Przepraszam za spóźnienie. Spotkanie się przeciągnęło. Jego usprawiedliwienie skwitowała figlarnym uśmiechem. Przyzwalająco skinęła głową.

- Wiem, że jest pan bardzo zajęтым człowiekiem. Nie musi się pan tłumaczyć, zresztą nie co dzień otrzymujemy tak hojną dotację na opiekę zdrowotną nad kobietami i dziećmi. Proszę tedy, jeśli łaska, wszyscy czekają.

Jack nie przyglądał się dokładnie otoczeniu, gdy siostra przełożona prowadziła go niekończącymi się korytarzami. Choć w ostatnich miesiącach odwiedził kilka szpitali, nadal unikał widoku sprzętu medycznego i pacjentów.

Starał się również nie analizować zbyt głęboko powodów, dla których podjął się działalności charytatywnej na rzecz szpitali, lecz podświadomie czuł, że jest to próba odkupienia utraconego szczęścia.

Po wielu godzinach, które spędził samotnie na obserwowaniu blednących o brzasku gwiazd, czuł, że jedynie czyniąc dobro, polegające choćby na wspieraniu szpitali, ukoi ból serca dręczący go od powrotu z Amorii.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedziała siostra przełożona, jakby wyczuwając narastające zdenerwowanie Jacka.

Pokręcił głową, by otrząsnąć się z ponurych myśli, gdy nagle zwrócił uwagę na kolorowe obrazki pokrywające ściany oddziału, przez który przechodzili.

- Są wspaniałe - zauważył, pokazując na barwną scenę z dżungli.

- Tak - przyznała przełożona. - Mamy ochotniczkę, która dokonuje niezwykłych rzeczy na oddziale dziecięcym.

Mówiąc to, wskazała głową na prawo. Jack podążył za jej wzrokiem. Zobaczył czarnowłosą kobietę. Spojrzał ponownie. Siedziała na końcu oddziału, kiwając zieloną pluszową zabawką nad małą dziewczynką z nogami w gipsie.

Stanął jak wryty.

- Isabella! - wyrwało mu się.

- Zna pan naszą uroczą Isabelle? - zdumiała się przełożona pielęgniarek.

- To nie może być ona - szepnął. Dziecko uśmiechało się do kobiety.

To była Isabella. Jego Isabella. Dostrzegł jej profil w chwili, gdy uśmiechała się do dziecka. Tę twarz z dołeczkami w policzkach, kiedy się uśmiecha, poznałby wszędzie.

Co ona tutaj robi?

Na bieżąco śledził doniesienia z Amorii. Wiedział, że Radik był w więzieniu. Isabella miała pracować w szpitalu.

Oblał go zimny pot. Czemu przyleciała do Australii, nie kontaktując się z nim? Musi z nią porozmawiać. Tyle miał jej do powiedzenia, do naprawienia...

Nawet nie wiedział, jak długo na nią patrzy. Wreszcie siostra przełożona poklepała go po ramieniu.

- Panie Kingsley - Laird, trzymamy się planu - rzekła.

- Ale ja znam tę kobietę, Isabelle. Muszę z nią natychmiast porozmawiać.

Po raz pierwszy przełożona stała się mniej uprzejma.

- Niestety, wszyscy czekają, sir. Są już premier, prezes zarządu i dziennikarze. Jesteśmy spóźnieni.

- Tak, oczywiście - przyznał Jack. - To oficjalne spotkanie. - Isabelle znajdę później.

W auli powitało go mnóstwo uśmiechów i deklaracji.

Przemówienia ciągnęły się irytująco długo, aż wreszcie Jack mógł wręczyć czek prezesowi zarządu. Błysnęły flesze,

potem kolejne, uwieczniając uścisk rąk z premierem, prezesem, lekarzami i przełożoną pielęgniarek.

Dziennikarze prześcigali się w zadawaniu pytań.

- Muszę szybko stąd wyjść. - Jack zwrócił się do najbliższego lekarza.

- Oczywiście. - Młody pediatra imponującym gestem powstrzymał napór mediów. - Pan Kingsley - Laird ma kolejne ważne spotkanie - oświadczył - ale nasz rzecznik prasowy z radością odpowie na państwa pytania. - Do Jacka szepnął: - Proszę za mną.

Po wyjściu z auli Jack podziękował lekarzowi.

- Chciałem coś jeszcze zobaczyć na oddziale dziecięcym.

- O! Czy coś pana szczególnie zainteresowało? - spytał lekarz, myśląc o kolejnej dotacji.

- Ach, nic szczególnego. Spodobał mi się... eee, wystrój.

- Jack skłonił się i szybko wyszedł.

Ze ściśniętym sercem przekraczał próg oddziału dziecięcego. Rozejrzał się po jasnym, kolorowym pokoju, ale były tam jedynie małe dzieci w gipsie.

Gdzie, do licha, podziała się Isabella?

- Przepraszam - zawołał do przechodzącej pielęgniarce.

- Czy może mi pani powiedzieć, gdzie znajduje wolontariuszkę, która była tu przed godziną?

- Chodzi o Isabellę?

- Tak.

- Obawiam się, że już poszła do domu.

Jack stłumił przekleństwo i uśmiechnął się czarująco.

- Nie wie pani, gdzie mieszka?

Pielęgniarka popatrzyła na niego badawczo spod przymrużonych oczu.

- Nie możemy udzielać takich informacji.

- Chyba nie - przyznał pojednawczym tonem. Dziwny błysk w oku pielęgniarki przywrócił mu nadzieję.

Prawdopodobnie dobrze znała Isabelle. Zerknął na jej identyfikator. - To życiowa sprawa, Nancy. Muszę się z nią zobaczyć.

Siostra Nancy zajęła się przygotowywaniem kubeczków z lekarstwami na tacy.

- Kiedy znowu będzie w pracy?

- Nie jestem pewna - odparła, z przesadną uwagą studiując etykietkę na fiolce z lekiem.

Zatrząśł się z niecierpliwości. Już prawie ją miał! Włożył ręce do kieszeni i pochylił się ku Nancy.

- A jeśli wyznam, czemu muszę się z nią widzieć?

Isabella po raz pierwszy wybierała się na przyjęcie jako zwyczajna dziewczyna. Jak miliony innych dziewczyn szykowała się na sobotni wieczór.

Było to jedno z wielu nowych, cieszących ją doświadczeń. Pierwszym, najcenniejszym, było przekonanie ojca, by pozwolił jej wyjechać do Perth. Potem następne - znalezienie małego domku, zakupy w supermarkecie, nauka gotowania, hodowanie ziół, prowadzenie domu.

Odświeżona kąpielą, owinęła się w czerwone jedwabne kimono i z uśmiechem oglądała rzeczy, które kupiła na przyjęcie. W małym sklepiku za rogiem wypatrzyła piękną, miękką, lejącą się sukienkę. Była czarna, w kwiaty i liście w kolorach miedzi i brązu.

Tam też znalazła bardzo wyszukane, śliczne sandałki na wysokim obcasie i nową czarną bieliznę. Do tego miała czarna torebka z papugą na klapie, ostrzejszy makijaż i będzie gotowa.

Wkrótce pojedzie do mieszkania na przedmieściu, pełnego wesołych pielęgniarek i sympatycznych młodych lekarzy.

Zaraz zacznie się jej udzielać miłe podniecenie. To, że jeszcze się nie cieszyła, kładła na karb pogody. Po południu nad Perth rozszalała się burza i nadal lało.

Wszystko ułoży się dobrze, jeśli nie będzie myślała o Jacku. Dziś nie może, nie wolno jej o nim myśleć. Dziś jest pierwsza wspaniała noc jej życia.

Rozchyliła zasłony i spoglądając w deszczową noc, po raz tysięczny przypomniała sobie przepowiednię Cyganki. Niepoprawny romantyzm podsycił jej nadzieję, że wreszcie znajdzie tu szczęście. Powinna przestać wyobrażać sobie, że lada chwila natknie się na Jacka.

Było to trudne, zwłaszcza po obejrzeniu popołudniowych wiadomości. I pomyśleć, że był dziś w królewskim szpitalu w Perth.

Dziś rano. Gdyby wiedziała, zobaczyłaby się z nim. Porozmawiała.

Przestań, zganiała się. Przestań o nim myśleć. Zepsujesz sobie całą zabawę. Jack ma swoje życie, zajmij się swoim.

Zerknęła na zegarek przy łóżku i doszła do wniosku, że czas się ubrać. Zaciągnęła zasłony, zdjęła kimono i podeszła do łóżka. Włożyła bieliznę. Potem makijaż, wreszcie sukienka.

Na pewno poczuje dreszcz emocji, kiedy będzie gotowa. Sięgała po czarne stringi, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Zdumiona zerknęła na zegarek. Jak na Nancy, która miała zabrać ją na przyjęcie, było zdecydowanie za wcześnie. Boże, nie powinna tak marudzić. Gdzie ma przyjąć Nancy? Czy zaproponować jej drinka?

Nieco spłoszona, znów owinęła się kimonem. Zawijając pasek, bosko pospieszyła otworzyć drzwi.

W holu znajdował się przełącznik światła na ganku. Przekreśliła go i przez matową szybę w drzwiach dostrzegła zasłoniętą parasolem sylwetkę gościa.

Poczuła nagły ucisk w żołądku.

- Obawiam się, że jeszcze nie jestem gotowa - zawołała, otwierając drzwi. Zamarła.

To nie była Nancy.

Nogi się pod nią ugięły, wsparła się o framugę drzwi.  
Jack!

Lampa na ganku oświetlała końce kasztanowych włosów, czoło, nos, policzki. Podkreślała niebieski kolor oczu.

Oparł ociekający parasol o ścianę ganku i stał z jedną ręką za plecami. Krople deszczu lśniły na ramionach ciemnej marynarki, nogawki spodni w kolorze kamienia miał przemoczone. Niebieska koszula barwą pasowała do jego oczu. Rozpięty górny guzik odsłaniał tors.

Jack. Z krwi i kości.

- Witaj, Isabello.

Serce waliło jej tak, że ledwie go słyszała. Sama nie była w stanie wykrztusić słowa.

Wielokrotnie wyobrażała sobie ten moment. Jack wraca do jej życia. Jednak sny zamieniały się w koszmar. Ilekroć Jack zbliżał się do niej i próbowała go dotknąć, rozpadał się na tysiące kawałków.

Obawiała się tego nawet teraz. Jeśli choć mrugnie okiem, Jack może rozpląnąć się z deszczem w kałużę u jej stóp. Starła się skoncentrować.

- Co tu robisz? - spytała wreszcie.

- Słyszałem, że jesteś w mieście - odparł bez troski, jakby chodziło o rozmowę między szkolnymi kolegami.

- A skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Widziałem cię dziś rano w szpitalu.

- Naprawdę?

- Potem zniknęłaś, więc popytałem dyskretnie tu i tam. - Uśmiechał się, lecz wzrok nadal miał czujny. - Jak się masz, Carmen?

- Dobrze, dziękuję, Jack.

Podmuch wiatru smagnał deszczem ganek.

- Nie zaprosisz mnie? - spytał.



- Lada chwila spodziewam się kogoś. - Przytrzymała się klamki. - Wychodzę.

Nerwowo przesunęła ręką wzdłuż uda.

Podążył wzrokiem za jej ręką. Czowała się bardzo niezręcznie, jakby obnażona, kiedy stała przed nim boso, w jedwabnym kimonie.

Jack westchnął głęboko i zrobił krok do przodu.

- Muszę z tobą porozmawiać, Isabello.

- Czemu? - szepnęła, przywierając mocniej do drzwi. W środku drżała, kipiała w niej uczucia.

Za jego plecami, po ciemnej ulicy jeździły samochody, rozbryzgując kałuże. Światła reflektorów migały, zamieniając deszcz w złote smużki wody. Spojrzał na światła, potem znowu na nią.

- Czy pamiętasz tę deszczową noc, kiedy dobijałaś się do moich drzwi, a ja cię wpuściłem?

O bogowie! Tak bardzo starała się o tym nie myśleć. O wezbranym strumieniu, burzy, ciemnym buszu. O błyskawicach. A zwłaszcza o Jacku w jego chacie... O tym, jak robił jej herbatę, odstąpił łóżko. Ani o tym, co było potem, o rzece. O tym, co stało się pod baldachimem...

- Isabello, czy pomogłoby, gdybym powiedział, że przychodzę tu z błogosławieństwem twojej przyjaciółki Nancy?

Nancy? Zmieszała się, jakby obudziła się w środku dziwnego snu.

- Być może Nancy wie o czymś, czego ja nie wiem.

Jack wyjął zza pleców długą ciemnoczerwoną różę. Przycisnęła dłonie do piersi, w której mocno biło serce, i popatrzyła najpierw na niego, potem na krople deszczu lśniące na aksamitnych płatkach kwiatu, na jedwabną wstążkę w kolorze kości słoniowej zawiązaną wokół kolczastej łodygi.

- Omal nie przyniosłem ci bukietu dzikich australijskich orchidei, ale postanowiłem pozostać wierny tradycji - powiedział. Znów spojrzął na deszcz, potem na Isabelle.

- Przyszedłem prosić cię o drugą szansę. Poczula się tak, jakby pędziła na nartach ze zbocza.

- Nie rozumiem... - szepnęła, ale oboje wiedzieli, że kłamie.

Jack teatralnym gestem przycisnął różę do serca.

- Isabello, jeśli nie chcesz, by cała ulica brała udział w moich oświadczeniach, powinnaś zaprosić mnie do środka.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zagarnął ją do wnętrza i zatrzasnął drzwi. Nogi się pod nią ugięły tak, że musiała oprzeć się o ścianę. Cała drżała od wypełniających ją emocji. Nie mogła oderwać wzroku od Jacka. Wyglądał tak wspaniale.

Bez wahania wszedł prosto do jej malutkiego saloniku. Szła za nim potulnie, jak otumaniona, bez sensu zastanawiając się, czy spodobają mu się wybrane przez nią meble w stylu rustykalnym.

- Usiądź, proszę.

- Postoję. - Położył różę na stoliku do kawy, wyprostował się i stał nieruchomo, wpatrując się w Isabelle. - Jestem nieco zdenerwowany.

- To jest nas dwoje - szepnęła. Na zewnątrz, w ciemnościach deszcz siekł o szyby. - Jeśli ci to pomoże, to wiedz, że bardzo chcę usłyszeć, co masz mi do powiedzenia, Jack.

Spróbował się uśmiechnąć, ale mu nie wyszło. Wtedy wsadził ręce do kieszeni spodni. Tym ruchem rozchylił marynarkę i nie mogła się powstrzymać, by nie podziwiać męskiej linii jego sylwetki od wąskich bioder po szerokie i muskularne ramiona.

- Jest tak - powiedział - popełniłem beznadziejny błąd, prosząc cię o rękę, kiedy byłem w Amorii. Byłaś w szoku, a ja

wdarłem się do ciebie i nie okazałem minimum delikatności. Chyba wiem, dlaczego mnie odrzuciłaś, więc przyszedłem spytać, czy mogę spróbować jeszcze raz.

Łzy napłynęły jej do oczu, dreszcz zgasił uśmiech.

- Czemu ludzie mają tylko jedną szansę?

Jeżeli tym razem nie powiesz mi, że mnie kochasz, umrę. Uśmiechnął się nerwowo.

- Kocham cię, Isabello.

- Och, Jack. - Serce rwało się do niego. - Jesteś pewien? Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Absolutnie. Jestem więcej niż pewien. Kocham cię rozpaczliwie i do szaleństwa. Musisz mi uwierzyć.

- A przecież w Killymoon byłeś zupełnie pewien, że nie ma dla nas przyszłości. Po śmierci żony...

Niecierpliwie pokręcił głową.

- Oszukiwałem sam siebie. Wpadłem na szalony pomysł, że nie będę cierpiał, gdy będę trzymał się od ciebie z daleka. Bardzo głupio, ponieważ już było za późno. - Podszedł bliżej.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że już jestem w tobie zakochany. - Wziął ją za rękę. - Te trzy miesiące były piekłem. Tylko z tobą mogę być szczęśliwy. Chcę poświęcić resztę życia na dawanie ci szczęścia.

Jack ją kochał. Nie tylko słyszała to w jego słowach, lecz w drzeniu głosu, widziała w błyszczącym wzroku, czuła to w powietrzu.

- Przykro mi, że cię odprawiłam - powiedziała. - Też byłam bardzo nieszczęśliwa, ale myślałam, że to mój ojciec zmusił cię do oświadczeń. Nie powiedziałeś mi, że mnie kochasz.

- Wiem. Sam nie mogę uwierzyć, że byłem taki głupi.

- A ja potrzebowałam, żebyś kochał mnie tak, jak ja ciebie.

- Och, Isabello. - Chwycił ją w ramiona, przycisnął do bijącego serca i trzymał, jakby bał się, że mogłaby zniknąć. Zanurzył twarz w jej włosach. - Kocham cię, dziewczyno. Kocham, kocham. - Przycisnął wargi do jej czoła. - Musisz mi uwierzyć.

- Wierzę ci.

- Nauczyłem się, jak powiedzieć to po francusku.

- Powiedz.

- Je t'aime.

- Och, kochany. - Śmiała się i płakała jednocześnie. - Je t'aime. - Pocałowała go w policzek. - Je t'aime. Je l'adore.

Jack pocałował ją w płatek ucha.

- Ale to nie wszystko. Umiem też powiedzieć to po hiszpańsku. - Uśmiechnął się i pocałował ją w drugie ucho. - Te amo.

- Te amo - szepnęła szczęśliwa, całując jego szyję.

- Ostrzegam cię - powiedział, całując każdy centymetr jej twarzy. - Zamierzam nauczyć się tego w każdym języku.

- Przestań, bo się popłaczę - odparła przez łzy.

Na koniec pocałował ją w usta. Przyjęła go z łapczywie rozchylonymi wargami. Żarliwie odwzajemnił jej pieśczętę, jakby deklarował objęcie jej w posiadanie. Teraz była jego.

Była kobietą Jacka.

Isabella przywarła do niego. Ogarnęło ją szczęście. Jack, jej wspaniały Jack, pragnął jej. Kochał ją. Kochał!

Odchyliła głowę i ich pocałunek stał się jeszcze głębszy. Wędrował dłońmi po jej ramionach, badał ich kształt, potem wzdłuż rąk. Znowu w górę, tym razem wolniej. Rozpalał ją.

Kochała jego ręce, sposób, w jaki jej dotykały. Tak długo była bez niego. Teraz byli razem, ona i Jack - czuły, namiętny, kochający. Gdy dotarł do jej piersi, fala gwałtownej rozkoszy rozlała się po całym jej ciele. Niecierpliwie zrzuciła z siebie

kimono. Wreszcie opadło i już nic nie dzieliło jej ciała od rąk Jacka.

Jack zadrżał, dotykając jej nagiej skóry.

- Isabello...

- Kocham cię. Je t'adore.

Przesunął dłońmi po jej ciele i całował ramiona, potem coraz niżej i niżej.

O, tak. Wydała z siebie zduszony jęk. Potrzebowała tych pocałunków jak powietrza.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Isabella zeszywniała, potem przypomniała sobie.

- O Boże, czyżby to Nancy? - szepnęła. Przytrzymując ją, Jack odwrócił się w stronę korytarza.

- Bez wątpienia przyszła się upewnić, czy nie spartaczyłem drugiej szansy.

- Cóż, szczerze mówiąc, owszem, spartaczyłeś.

- Przepraszam?

- O ile pamiętam, jeszcze nie spytałeś, czy za ciebie wyjdę.

- A wyjdiesz?

- Jasne, kochany!

Spojrzał na nią z uśmiechem. Dzwonek rozległ się tym razem bardziej natarczywie, ale Isabella zignorowała go.

- To było w australijskim stylu. Tak, mój kochany. Niczego bardziej nie pragnę, jak zostać twoją żoną.

Niebieskie oczy lśniły, kiedy znów pocałował jej ramię. Z przesadnym westchnieniem ubrał ją w kimono i zawiązał pasek.

- Chyba powinniśmy przekazać Nancy dobre wieści.

- Szkoda, że przepadnie mi przyjęcie.

- Zaplanowałem co innego.

- W takim razie lepiej się pospieszmy.

## EPILOG

Była piękna, bezchmurna noc. Aksamitną kopułę nieba pokrywały gwiazdy i srebrny półksiężyc.

Isabella i Jack rozpostarli koc na brzegu jeziora i leżeli na wznak, patrząc w niebo. Obok w chacie ich córeczka Annie spała w swoim łóżeczku.

- Czy poszczególne gwiazdy Krzyża Południa mają swoje nazwy? - spytała Isabella.

- Pewnie. - Jack uniósł się na łokciu i zaczął pokazywać drugą ręką. - Najpierw Alfa, o tu, potem kolejno Beta, Gamma, Delta, a ta mała w środku to Epsilon.

- Mmm... Alfa - powtórzyła i uśmiechnęła się do niego leniwie. - Może nasze drugie dziecko będzie miało na imię Alfa?

- Żartujesz?

Dała mu pieścizotliwego kuksańca.

- Nie sądzisz, że imię Alfa ma w sobie pewną moc? Annie i Alfa. A może wolałbyś Epsilon?

Jack zaśmiał się i sięgnął pod jej podkoszulek, by popieścić brzuch, w którym rosło ich drugie dziecko. Tym razem był o wiele bardziej spokojny. Kiedy miała urodzić się Annie, stał się istnym kłębkim nerwów ze strachu o Isabellę i dziecko. Bał się, że mógłby je stracić.

Lecz Isabella, dzięki Bogu, była pogodna i spokojna.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniała go.

I było. Na rozwiązanie polecili do Amorii. Isabella zdecydowała się na poród w wodzie w ekskluzywnej klinice w Valdenzie. Dziecko przyszło na świat przy delikatnym blasku świec. Bez szoku i zamieszania.

Słodki czarnowłosy aniołek.

Jack był wniebowzięty, kiedy pierwszy raz wziął małą na ręce. Przytulił kruche, jeszcze wilgotne ciało. Zdumiał się, bo otworzyła buzię i spróbowała go ssać.

- Już jest głodna - szepnął zachwycony. Była taka zdrowa i pełna wigoru.

Również Isabella promieniała zdrowiem i szczęściem.

- Dajmy jej na imię Annie, po twojej pierwszej córeczce - zaproponowała.

Jack załkał. Były to łzy żalu za rudowłosą Annie i łzy radości na widok pięknej, kruczowłosej kruszynki podobnej do matki. Wówczas nie był w stanie podziękować Isabelli, ale potem czynił to wielokrotnie.

Teraz, gdy patrzyli w gwiazdy, Isabella przywarła do jego ramienia, a noc otuliła ich ciepłą ciszą.

- Nie cieszysz się, że namówiłam cię na spędzenie rocznicy ślubu w Pelican's End? - spytała.

- Bardzo - szepnął, całując ją. - Ale, moja ukochana, z tobą wszędzie jest mi dobrze. - Pogładził ją po policzku i przyjrzał się, jak księżyc srebrzy jej twarz. - Valdenza, Killymoon, Perth, dopóki jesteś ze mną, jestem szczęśliwy.

Nawet nie wiedział, że w życiu możliwe jest tyle harmonii. Trzy lata radości z małżeństwa, korzystne połączenie rodzinnych firm oraz założenie przez Isabellę, nie bez królewskich wpływów, instytutu badawczego imienia Christosa Tenniego.

- Kocham każdy skrawek twego ciała - powiedział. - Zwłaszcza ten. - Przesunął ustami po gorących wargach.

- Nagligivaget - szepnął, przytulając ją mocniej.

- Naglig... co?

- Nagligivaget.

- Co to znaczy?

- To w narzeczu eskimosko - inuickim znaczy „kocham cię”. Naprawdę.

- Kochany, w ilu językach potrafisz to powiedzieć?

- Straciłem rachubę.

- Jesteś niezwykły, Jack - szepnęła. Spojrzała na Krzyż Południa i uśmiechnęła się. - Je t'aime.

Pocałował ją czule.

- Te orno, Carmen.